PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY i LITERACKI, ILLUSTROWANY

Rocznik XV.

Kwartalnik II.

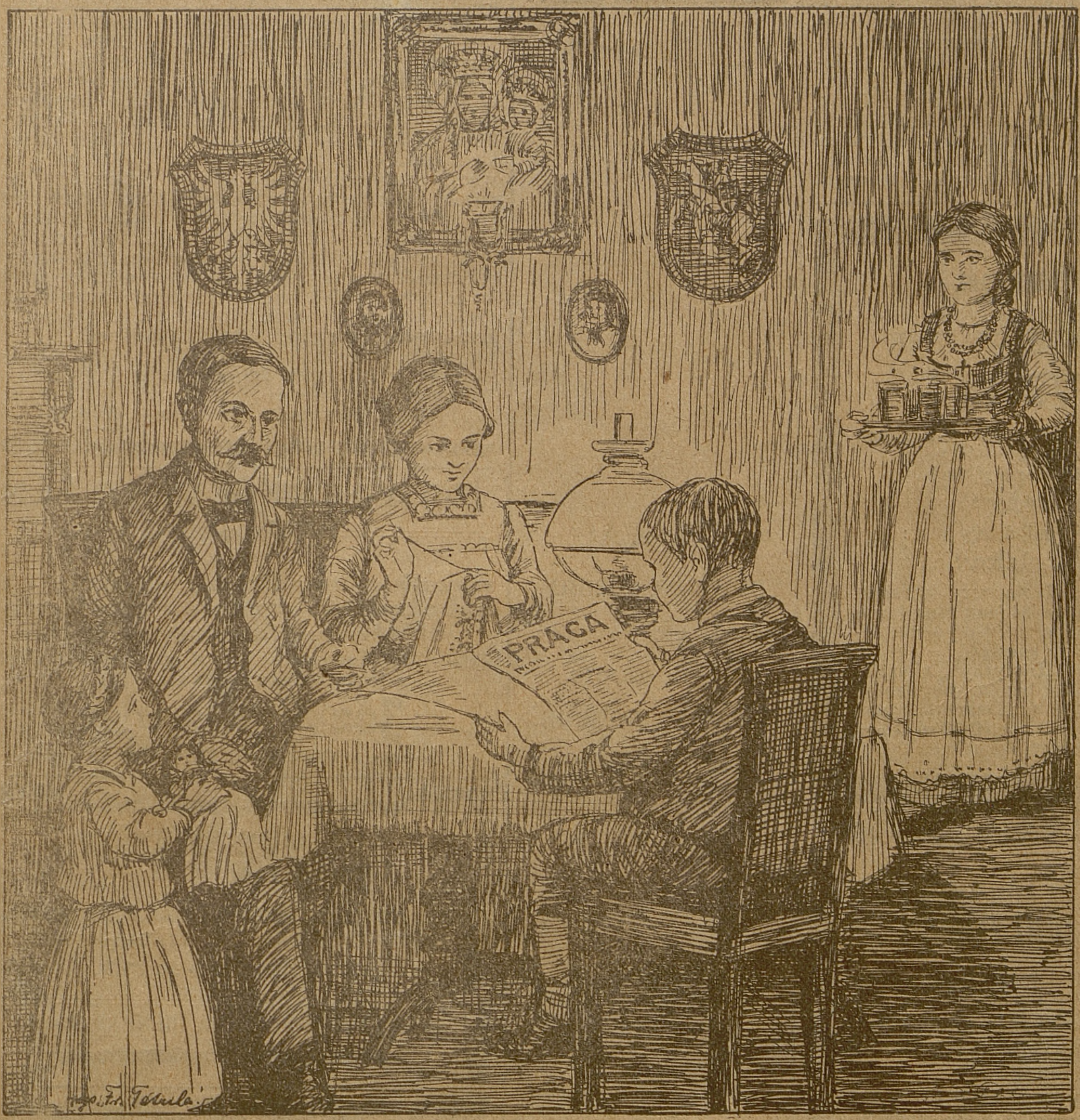
(Kwiecień, Maj, Czerwiec.)

No. 14—27.

1911.

POZNAŃ.
Nakładem i Drukiem «Pracy» Drukarni Nakładowej
G. m. b. H.
Ul. Rycerska 38.

Niniejszy numer jest pierwszy w nowym kwartale,



więc czas największy odnowić przedpłatę na nowy, drugi kwartał r. b. na poczcie.

Prosimy Szanownych Czytelników, aby nie tylko sami wcześnie odnowili przedpłatę na poczcie, ale aby byli łaskawi zachęcać do zapisywania „Pracy“ przyjaciół, sąsiadów i znajomych.

„Praca“ kosztuje na wszystkich pocztach 1,50 mk. z odnoszeniem do domu 1,62 mk. na kwartał.

W numerze 12-tym rozpoczęliśmy druk powieści illustrowanej p. t

„Tajemnice morza“.

„Tajemnice morza“ będzie czytał każdy z nadzwyczajnem zainteresowaniem i oczekiwać będzie z wielką niecierpliwością od tygodnia do tygodnia dalszego ciągu tej rzeczywiście zajmującej powieści.

Kwity pocztowe na nowy kwartał zamieszczone są poniżej. Nowi abonenci otrzymają początek powieści p. t. **„Tajemnice morza“** bezpłatnie za nadesłaniem znaczka pięciofenygowego na porto.

Numery okazowe wysyłamy na życzenie bezpłatnie i franko.

„Praca“ jest najtańszem, najpoczytniejszem i najobfitszem w treść pismem illustrowanem polskiem z wszystkich tygodników illustrowanych, wychodzących pod trzema zaborami.

Prosimy o wczesne odnowienie abonamentu celem uniknięcia przerwy przy odbiorze pierwszych zeszytów w nowym kwartale.

Prosimy odciąć i podać znajomym do prenumeraty!

Unterzeichneter abonniert hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das II. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,50 M

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1 50 M. erhalten zu haben, bescheinigt

................................, den .... 1911.

Kaiserl. Post................................

Kolorowe pocztówki.

Wyszły co dopiero na widok pnbliczny następujące **Typy Ludowe**. 1. **Krakowiak** z wieńcem laurowym; gołąb niesie różdżkę oliwną z napisem: Szczęść Panie Boże! 2. **Góral Tatrzański** nad Morskiem Okiem z wiązką kwiatów. Na skale wykuty napis: Błogosław Boże. 3. Krakowiacy. 4. Górale. 5. Wielkopolanie i Kujawiacy. 6. Mazury. 7. Kurpie. 8. Sandomierzanie i Lublinianie. 9. Ślązacy. 10. Podlasianie. 11. Rusini. 12. Litwini. Cena pojedyńczej pocztówki 10 fen. — 12 sztuk razem w kopercie i z opisem 1 mk., franko 1,10 mk. 50 różnych pocztówek z 12 typami ludowemi za 1,60 mk. franko. Można też nabyć 50 pocztówek za 60 fen. franko, tylko niektóre są trochę uszkodzone, ale całe. Zamawiać pod adresem: **J. Chociszewski, Gniezno — Gnesen.**

1000 marek!

Rodakom na obczyźnie i w Polsce polecić można pismo narodowe, jakie pod nazwą

„Ojczyzna“

wychodzi trzy razy tygodniowo w Bochum, w Westfalii.

„Ojczyzna“ ma dodatek religijny p. t.:

„Dzień Boży“

i pismo dla dzieci i młodzieży p. t.:

„Młoda Polska“

Prenumerata wynosi na trzy miesiące 1,25 mk. na dwa miesiące 84 fen., a na jeden miesiąc 41 fen. Za odnoszenie do domu dopłaca się 8 fen. za każdy miesiąc.

Wszyscy abonenci „Ojczyzny“ ubezpieczeni są w norymberskim banku ubezpieczeń na życie na wypadek śmierci, skutkiem nieszczęśliwego wypadku na sumę **1000 mk.** pod ogłoszonymi w „Ojczyźnie“ warunkami.

„Tygodnik Maryański“

Pismo religijne dla ludu katolicko - polskiego wychodzi w Bochum pod kierownictwem księży polskich.

Przedpłata na poczcie wynosi na cały kwartał tylko **62 fenygów**, już z odnoszeniem do domu przez listowego.

Przedpłatę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe. Przy zamówieniu powiedzieć krótko: **Bestelle polnische Zeitung „Tygodnik Maryański“ aus Bochum.**

Wszyscy obonenci „Tygodnika Maryańskiego“ są w „Norymberskim Banku ubezpieczeń na życie“ ubezpieczeni na **200 marek** na wypadek śmierci wskutek nieszczęśliwego wypadku.

„PRACA“ powinna znajdować się w każdym domu szczerze polskim.

Dzieła Sienkiewicza,

tanie wydanie.

1. **Ogniem i mieczem.** Powieść z czasów Jana Kazimierza 2 tomy. Cena 2 mk., z przesyłką 2,30 mk. 2. **Potop.** Powieść z czasu najazdu szwedzkiego. 3 tomy 2,50 mk., z przesyłką 3 mk. 3. **Pan Wołodyjowski.** Powieść — 1 mk., z przesyłką 1,20 mk. 4. **Quo vadis.** Powieść z czasów rzymskich, gdzie zachodzi Piotr Święty, przełożona na główne języki europejskie. — 1,60 mk., z przesyłką 1,80 mk. 5. **Krzyżacy** 2 tomy w 4-rech. — 3 mk., z przesyłką 3,50 mk. Wszystkie 5 powieści w 9 tomach z przesyłką 9,50 mk.; oprawne 14 mk. (lepsza oprawa 16,50 mk.) z przesyłką 50 fen. więcej. Oprócz tego bezpłatnie 50 pocztówek w dodatku, oraz piękną komedyjkę „Irena“ za 30 fen. i śliczne Sienkiewicza: „Pójdźmy za nim“ — 25 fen. z przesyłką.

Dzieła Sienkiewicza są tak ważne, że powinny się znajdować w każdym polskim domu, a już co najmniej każde Towarzystwo polskie koniecznie powinno mieć takowe w swej bibliotece. Dawniej cztery te powieści kosztowały bez oprawy 24,80 mk., dziś tylko 9,50 mk., z oprawą i przesyłką 14,50 mk. Wszystkie dzieła Sienkiewicza w 34 tomach **70 marek**, w oprawie 95 mk. Zamawiać pod adresem:

J. Chociszewski, Gniezno — Gnesen.

Jedyny polsko-katolicki Dom wysyłkowy „Gwiazda“

w Wrocławiu

poleca

wszelkie książki historyczne i do nabożeństwa, rzeczy galanteryjne, biżuterye, dewocyonalie itd.

Na życzenie wysyłam franko wielki illustrowany cennik.

Józef Mierswa,

Wrocław (Breslau) Fichtestrasse 14.

„GRYF“

PISMO DLA SPRAW KASZUBSKICH.
WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC.
CENA ZESZYTU 50 FEN.

ADRES REDAKCYI:
„**GRYF**“, KOŚCIERZYNA (BERENT W.-PR.)

Rzadka sposobność

taniego nabycia pocztówek. **Za 60 fen.** przesyła się franko **50** pocztówek w czarnym druku i kolorowych. Sprzedaje się dlatego tak tanio, ponieważ niektóre są pogięte i cokolwiek uszkodzone, ale całe. Są prawie wyłącznie treści narodowej. W lepszem wykonaniu 50 sztuk za 1,20 mk. za co przesyłka franko. Zamawiać pod adresem:

J. Chociszewski, Gniezno—Gnesen.

DRUKARNIA „PRACY“

Telefon 97. Sp. z ogr. p. Telefon 97.

ulica Rycerska nr. 38. **POZNAN,** ulica Rycerska nr. 38.

wykonuje **szybko i gustownie po cenach nader przystępnych**

druki wszelkiego rodzaju

od pojedyńczych do najozdobniejszych, w jednym lub więcej kolorach, a mianowicie:

gazety, dzieła, broszury, druki kościelne, urzędowe, gospodarskie, handlowe, bankowe, dla Spółek pożyczkowych, hotelów i restauracyi, cenniki, prospekta, rachunki, karty pocztowe, listy i koperty z firmą, etykiety, karty wizytowe i polecające, uwiadomienia zaręczynowe i zaproszenia ślubne, illustracye, dyplomy, powinszowania, adresy jubileuszowe, afisze i t. d. i t. d.

Związek Stolarski Tow. z ogr. por.

(dawniej Pluciński i Spółka)

Poznań, jedynie ulica Wrocławska 13/14. 96

Najkorzystniejsze źródło zakupu mebli

skromnych i stylowych.

Prosimy przekonać się! *Zwiedzenie magazynów do kupna nie obowiązuje*

Dogodne warunki spłaty.

Magazyny mieszczą się w naszych własnych domach handlowych, skutkiem tego ceny mebli bezkonkurencyjne.

Z dniem 1 kwietnia rb. nabyłem **zakład fotograficzny** firmy **van Delden**

w Poznaniu przy ul. Berlińskiej 5.

Zadaniem mojem będzie uprzejmą i rzetelną usługą zaskarbić sobie nadal względy Szan. klienteli.

Z głębokim szacunkiem 72

Filia: ul. Szeroka 20.
Tel. 790.
Założona 1896 roku.

Józef Stolski
ul. Berlińska 5. — Tel. 2770.

Patenty
na wynalazki itd.
Dr. Maryan Kryzan
rzecznik patentowy.
Poznań Rycerska 33.

Dom
murowany

na 10 familji, przynoszący 1050 mk. dzierżawy rocznie, do tego

9 mórg dobrej roli

w Starołęce pod Poznaniem pod korzystnymi warunkam do nabycia. Zgłoszenia do **Dom. Wielka-Starołęka** p. Luisenhein. 88

Liszaj

mokry i suchy liszaj łupież, skrofuły, pryszcze wyrzuty skórne, wszelkiego rodzaju

otwarte nogi,

obrażenia nóg, wrzody na nogach, żyły kurczowe, bolące palce, zastarzałe rany są często uporczywe; **kto dotychczas daremnie oczekiwał** wyleczenia, niech jeszcze raz spróbuje od dawna jak najlepiej wybróbowanej

maści Rino

wolna od szkodliwych składników. Puszka 1,15 mk. i 2,25 mk. Codzień otrzymujemy pisma dziękczynne. Tylko prawdziwa w oryginaln. opakowaniu biało-zielono-czerwonem i z firmą Rich. Schubert & Co., Weinböhla-Dresden, chem. pharm. labor. Naśladowań nie trzeba przyjmować. Do nabycia w aptekach.

Główny skład: Czerwona Apteka, Poznań, St. Rynek 37. 323

Mądre gospodynie używają do prania tylko proszek

!Słońce!

Proszek ten nadaje bieliźnie

„śnieżną białość 437
i miły zapach fiołków.“

Każda paczka zawiera

„praktyczny przedmiot.“

Do nabycia wszędzie.

Jedyny fabrykant
Z. Ritter Nastp., Poznań,
Św. Marcin 20.
Właśc. **St. Dyczkowski.**
Chem.-techn. Laboratoryum.

Nowości

Magazyn mód
Julia Mayer

ul. Wodna nr. 22

poleca 90

na sezon wiosenno-latowy

Modele paryskie, wiedeńskie

i gustowne kapelusze

dla pań, panienek i dzieci.

Kwiaty **Pióra** **Krepy**

Na 311

majątki ziemskie,

gospodarstwa i większe folwarki jestem zawsze reflektantem oraz mam każdego czasu takowe do sprzedania.

Parceluję na własny lub właściciela rachunek za bardzo nizkiem wynagrodzeniem, przeprowadzam konwertacye listów zastawnych, udzielając zaliczki na parcelacyą lub regulowanie hipotek.

Gabryel Ritter,
Bank hipoteczny i parcelacyjny
Stary Rynek 6. — Telefon 62.

Abonujcie „Pracę!“

Młody inteligentny kupiec, posiadający własny zaprowadzony interes, pragnie zawiązać korespondencyę z młodą, przystojną, dobrze wychowaną panienką, (w celu późniejszego)

ożenku.

Łaskawe zgłoszenia uprasza się do ekspedycyi „Pracy“ pod lit. **G. K. 30.** 83.

Janusz Karwat 33
Zakład dentystyczny

Poznań, ul. Wrocławska 13 I.

Godziny przyjęć: od 9—1 i 3—7.

Pracowałem czas dłuższy w klinikach uniwersytetów w Berlinie, Wrocławiu i Gryfii.

Nasiona

polne, leśne i ogrodowe
wszelkie **artykuły pastewne,**
mąki wyborowe oraz **towary korzenne**
poleca 101

G. RITTER Nast., H. Beyehler,
POZNAŃ, ul. Wodna 27. Filia: Wodna 19.

Zał. 1891. Zał. 1891

St. Mańczak

Fachowy złotnik i jubiler z 28-letnią praktyką

Tel. 640. POZNAŃ, ul. Berlińska 7. Tel. 640.

Największy i najstarszy

polski zakład złotniczy i jubilerski

poleca

wyroby złote, srebrne oraz bižuteryę

od najtańszych do najwykwintniejszych.

Wybór ogromny.

Ceny bez konkurencyi. 70

„PRACA“

Drukarnia nakładowa G. m. b. H.

Poznań, ul. Rycerska 38

poleca następujące książki:

Treści religijnej:

Cuda i łaski Boże przy św. sukience w Trewirze, przez ks dr. M. F. Koruma	30
Niepokalana. (Pamiątka jubileuszowa)	1,50

Treści historycznej:

Naród Polski, pod obcem panowaniem	1,50
Dzieje Śląska, przez dr. J. Konecznego	3,—
Obrona Wiednia, czyli niemieckiego państwa i chrześcijaństwa przez króla J. Sobieskiego	10
Kto winien, obrazek z naszych czasów napisał ks. St. Kostka	25

Treści powieściowej:

a) Wielkie powieści oprawne:

Rycerze pracy	5,—
Hrabia Damian	5,—
O grób Zbawiciela, powieść historyczna z czasów wojen krzyżowych	5,—
Pomsta Boża	7,—
Genowefa księżniczka, hrabina i pustelnica	5,—

b) Mniejsze powieści i opowiadania:

Babunia, obrazy z życia uczciwej niewiasty	90
Odzyskana córka	50
Szatański posiew	50
Milioner i śmieciarz	50
Tryumf wiary	50
Cesarz Domicyan	50
O życie i wolność	50
Syn pijaka	50
Sumienie	1,50
Nieczysta siła	1,50

Treści poetycznej i dramatycznej:

Rozrywka po pracy w dni świąteczne, zbiór łatwych sztuk teatralnych	75

Treści pouczającej:

800 rad praktycznych dla kobiet do użytku domowego	30
Listownik dla dzieci i młodzieży przez Józefa Chociszewskiego	30
Przewodnik do pisania listów miłosnych oraz tyczących się ożenienia i zamążpójścia	75
Niech żyje, zbiór toastów	60
Starosta weselny, zbiór przemówień, wierszy i piosnek do użytku starostów przy godach weselnych	1,—
Śpiewnik dla dzieci	0,15
Elementarz nowy	25

Treści prawniczej:

Niemiecki kodeks cywilny	1,30
Testament prywatny i nagły pod.ug niemieckiego kodeksu cywilnego	1 50
Poradnik podatkowy dla praktycznego użytku	1,30
Zabezpieczenie na słabość i starość, najważniejsze przepisy o zabezpieczeniu które każdy znać powinien	40
Klasztor O. O. Reformatów w Poznaniu	60
Podróż po ziemiach Polskich	50
Roman Szymański	50
Słowianie południowi	40



Bezpłatna
Pomoc dla gospodarzy

kto chce brać udział w pożyczce po 3½% z amortyzacyą lub stósownie podług umowy.

Bank nasz spłaca wszystkie ciężary i hipoteki przyjmuje na siebie W razie potrzeby udziela zaraz naprzód zaliczek.

E. B. Adamkiewicz i Spółka Poznań

Posen, Kronprinzenstrasse 12. 68

Dawniej 18 Mk. Teraz 6 Mk.



Wspaniały anker remontoir

Gloria-srebrny

męski zegarek z 3 ślicznemi grawiur. kapsułkami i sprężyn. wieczkiem i wycisk. medalem, 15 rubin., dobrze chodzący, 3 letnia piśm gwarancya, za zaliczką tylko **6 mk.** wolne od cła.

Fabryka zegarków 98

I. König

Wiedeń VII, 606. Kaiserstr. 101.

Ucznia

z dobrymi wiadomościami szkolnemi przyjmie zaraz lub też od Wielkanocy

S. Jabłoński

Handel żelaza,

Krotoszyn. 95

Panna 27 lat, skromna i gospodarna z dobrej rodziny z majątkiem dla braku znajomości Panów życzy sobie wyjść

za mąż.

Panowie reflektanci raczą łaskawe zgłoszenia nadesłać do ekspedycyi „Pracy“ pod No. **1650.** Dyskrecya zapewniona. Anonimy do kosza. 94

Uczeń

potrzebny zaraz do **składu bławatów.**

B. BOBKIEWICZ

Jutrosin. 99

Starszego chłopca

do posyłek i prac biurowych przyjmie Eksp. „Pracy.“

Rycerska ul. 38.

KAPELUSZE DAMSKIE.

Kapelusze dla panienek,

Kapelusze dziecięce.

od najskromniejszych do najelegancciejszych w wielkim wyborze **po znanych nizkich cenach**

poleca 102

T. Ludwig

Skład stroju „Carmen“

ul. Szkólna 10.

Przerabiania podług najnowszych modeli szybko.

Żałobne kapelusze zawsze na składzie.

Kasa Związku Ziemian

przyjmuje 32

depozyta i drobne oszczędności

po zawszy od 1 marki i płaci

Za rocznem wypowiedzeniem	5%
„ półrocznem „	4½%
„ kwartalnem „	4¼%
Na każdorazowe żądanie	4%

Adres: **Poznań-Posen, plac Wilhelmowski 17, I.**

Telefon 1615

Bielizna, fartuchy, halki,

gorsety, pończochy, skarpetki,
rękawiczki, trykoty latowe,
reformy dam. i dziec.
bawełna i wigonia.

Znaczki rabatowe.

K. Przybylski

Poznań, Półwiejska ul. 6.

Znaczki rabatowe.

Hafty, koronki,
tiule, woalki, żabotki,
kołnierze dla dzieci, wstążki,
grzebienie, paski, torebki, krawatki

100 ***i wszelkie towary krotkie.***

Mamy na sprzedaż:

1. w **Slanawach** (Salzdorf) pod Szubinem domostwo i 4 morgi roli, nadające się dla rzemieślnika. Cena 6500 M.
2. w **Smolnikach** pod Szubinem 140 mórg żytniej ziemi. Cena 350 M. za morgę.
3. w **Chodzieżu** (Kolmar) kamienicę za 11000 M.
4. w **Wągrówcu** kamienicę.
5. w **Potulinie** p. Gołańczą 80 mg. dobr. ziemi, 520 M. za mg.
6. w **Czerlinie** „ „ domostwo i 7 mg. roli. Cena 5000 M.
7. w **Gołańczy** 2 domy z zaprowadzonymi interesami.
8. w **Sarbce** p. Wągrówcem folwark 340 mórg za 125000 M.
9. w **Kcyni** kamienicę z 13 morg. roli i budynkami gosp.
10. w **Dziewierzewie** pod Kcynią 70 mórg pszen. ziemi.
11. w **Chawłodnie** pod Gołańczą dom i 2 morgi roli.

Spółka Ziemska

Gołańcz (Gollantsch). 87

Brazylia. Informacyi o tym kraju udziela autor **„Przewodnika dla wyjeżdżających do Brazylii“** za nadesłaniem dwóch marek pocztowych jakiegokolwiek kraju.

Adresować: **Fel. Bern. Zdanowski, Wien VIII/2, Laudongasse 57.**

Nr. 14. Poznań, dnia 31 marca 1911 r. Rok XV

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu. . . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. [illegible] Telefon Nr. [illegible] Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

Centrum a Polacy.

Znana jest zachłanność centrowców wszędzie tam, gdzie różnojęzyczne masy katolickie na wspólnem żyją terytoryum. Uwydatnia się ona w stosunku do ludności polskiej w Westfalii, w Prusach Zachodnich, na Warmii, przedewszystkikem zaś na G. Śląsku.

Przed kilkoma tygodniami mieliśmy wybory uzupełniające na Warmii, przy której to sposobności zachłanność centrowa ponownie w całej swej jaskrawości się pokazała. Centrowcy wprost za zbrodnię poczytywali Polakom, że odważyli się stawiać własną kandydaturę i upatrywali w tem zupełnie naturalnem poczynaniu czyn równający się niemal zdradzie sprawy katolickiej.

Nie inaczej działo się jeszcze przed kilku laty na G. Śląsku, który centrowcy za wyłączną swą uważali domenę.

Wprawdzie doświadczenia poczynione w ostatnich latach pouczyły centrowców, że Śląsk polski stanowczo przestał być terytoryum wyłącznie centrowym podległem wpływom, uprzytomniły im, że ruch polski jest siłą, z którą poważnie liczyć się trzeba i którą niebezpiecznie jest lekkomyślnie prowokować, lecz mimo to zachłanne apetyty centrowców raz w raz się tam uwidoczniają. Występują one pod najróżnorodniejszemi postaciami i spotykają się z mniej lub więcej energicznym odporem ze strony ludności, prasy i społecznych i politycznych organizacyj polskich.

Podczas gdy centrowcy zachodni, grupujący się około „Köln. Volkszeitung,“ wysilają się na argumenta, że partya centrowa nie jest partyą wyznaniową, lecz partyą czysto polityczną, mogącą dać także w swem łonie przytułek członkom niekatolickiego nawet wyznania, w naszych stronach centrowcy wprawdzie nie dezawuują zasadniczego stanowiska swych zachodnio-niemieckich przyjaciół, wszakże, akcentując polityczny charakter partyi centrowej głównie w polemice z prasą niemiecką, w stosunku do Polaków lubią przedstawiać partyę centrową jako partyę par excellence katolicką i wyprowadzają stąd wniosek, że każdy przekonany katolik w centrowych szeregach winien stanąć i na modłę centrową dochodzić swych specyalnych praw i życzeń czy to gospodarczych, czy politycznych, czy narodowych. Zapraszają tedy i Polaków w swoje szeregi i przez agitacyę i niekiedy przez teroryzm usiłują ich skłonić do przejścia pod sztandary jedynozbawczej rzekomo partyi centrowej.

Na dowód, że centrowcy bynajmniej nie zrezygnowali ze Śląska, służyć może mowa hr. Praschmy, wypowiedziana ostatniemi dniami na zebraniu wyborców centrowych w Królewskiej Hucie.

Mówca centrowy występował tam bardzo ostro przeciw t. zw. „radykalnemu“ ruchowi polskiemu, który jego zdaniem polega na wprowadzeniu w błąd ludności polskiej i który z czasem przeprowadzi swych zwolenników do obozu socyalistycznego. Zalecał tedy ludowi polskiemu partyę centrową tłumacząc, że ludność polska więcej ma widoków powodzenia broniąc swych praw i dochodząc swych żądań na gruncie partyi centrowej niż w obecnej swej przynależności do Koła polskiego.

Rozumowanie to nie wytrzymuje krytyki.

Nasamprzód pewnikiem historycznym jest, że od czasu przejścia ludności polskiej na Śląsku pod sztandar Koła polskiego, partya socyalistyczna na Śląsku przestała się rozwijać, owszem została zdziesiątkowaną. Nie może więc być mowy o tem, żeby ruch polski wiódł w dalszym swym rozwoju w szeregi socyalistyczne. Rzecz ma się raczej wręcz przeciwnie. Ruch polski podbiera na Śląsku grunt socyalistom, co już wynika choćby z tego, że socyaliści na Śląsku bez porównania ostrzej zwalczają Koło polskie, aniżeli partyę centrową, albowiem uważają Koło i prasę polską za daleko niebezpieczniejszego dla siebie przeciwnika, aniżeli centrowców, za rządów których socyalizm porósł w pierze i z roku na rok zwiększał zastępy swych zwolenników.

O wprowadzeniu w błąd ludności polskiej szkoda tracić słów. Ruch polski na Śląsku nie wzrósł bynajmniej wyłącznie tylko na podstawie antago-

nizmu społeczno-ekonomicznego, lecz przedewszystkiem na podstawie ideowej. Narodowy, polski charakter Koła i jego polityki, oto najważniejszy czynnik, który porwał masy ludowe. Społeczno-ekonomiczny program polityki polskiej, obiecanki agitatorów polskich, na które tak chętnie powołują się centrowcy i t. p. rzeczy — odgrywały w najlepszym razie rolę trzeciorzędną. Lud polski na Śląsku, uświadomiwszy sobie raz ten pewnik, że jest ludem polskim, wyciągnął z tego przekonania jedynie racyonalny wniosek, a mianowicie, że będąc polskim ludem winien także politycznie do polskiej przystąpić frakcyi. Rozumowanie to było oczywiście zupełnie słuszne i naturalne i musiało pociągnąć za sobą praktyczne konsekwencye z chwilą, gdy przeświadczenie o przynależności do społeczeństwa polskiego zapuściło korzenie w umysłach przeważającej części ludności śląskiej. Symptomatyczną także rzeczą była ta okoliczność, że hasło odnośne rzucone zostało nie przez „przybyszów“ z Księstwa, lecz przez rodowitego syna ludu śląskikego Wojciecha Korfantego. Z żywiołowości ruchu, jakie hasło to wywołało na Śląsku, poznać można było, że padło na grunt przygotowany, że umysły były dojrzałe, a świadczyło zarazem najniepochlebniej o śląskiej partyi centrowej, która przez tyle lat swej działalności nie potrafiła zdobyć popularności na polskim Śląsku. I zaiste, jakże mogła być popularna partya, która — odnosi się to głównie do śląskiej odmiany partyi centrowej — na każdym kroku manifestowała swój charakter niemiecki, a odnosiła się z jawną niechęcią do narodowych ideałów ludności, na wierności której swój byt opierała.

Partya centrowa na Śląsku miała wszystkie warunki po temu, by stać się rzeczywistą partyą ludową, lecz korzystać z nich nie potrafiła. Nie potrafiła zaś i nie mogła z nich korzystać dla tego, że chciała być koniecznie partyą niemiecką, w dodatku rządową. Wskutek tego, lubo nie uchwalała ustaw antypolskich, nigdy energicznie w obronie narodowości i języka ludności śląskiej nie występowała, a łagodną i dobrowolną germanizacyę bądź to popierała, bądź nie przeciwstawiała się jej tak jak to było jej obowiązkiem.

Trudno więc zrozumieć, co daje prawo p. hr. Praschmie głosić, że Polacy lepszych sukcesów dla swych życzeń oczekiwaćby mogli, gdyby przystali do partyi centrowej. Toż tkwili w niej przez trzydzieści kilka lat! Gdzież są sukcesy zapobiegliwości centrowej na gruncie polityki polskiej?

Partya centrowa jest potężna, tak potężna i wpływowa, że, gdyby na prawdę zechciała, mogłaby dla nas niejedną ulgę wywalczyć. O tyle w korzystniejszem się niż Koło polskie znajduje położeniu. Jednakże centrum nigdy się dla nas naprawdę nie angazowało i nigdy się dla nas naprawdę angażować nie będzie. Nie można tego nawet od centrowców żądać. Jako partyi niemieckiej brak jej zrozumienia istotnego duszy naszej i położenia naszego. To trzeba czuć głęboko w sercu, a, żeby to czuć, na to trzeba być Polakiem. Zrozumiała to polska ludność na Śląsku, przeto zwątpiła o skuteczności obrony centrowej. A lubo o skuteczności obrony polskiej nie ma nadmiernego wyobrażenia, zna bowiem warunki, w jakich się ta obrona odbywać musi, to jednak rozumie, że posłowie polscy bez porównania lepiej odczuwają dolę ludu polskiego i potrafią jej dać przynajmniej wyraz należyty. I nie jestto bynajmniej przypadkiem, że żaden poseł nie zdołał tak wszechstronnie i tak dobitnie przedstawić całej nędzy położenia ludu polskiego, jak to uczynił syn górnośląskiej ziemi ks. Wajda. Byłoby rzeczą psychologicznie wprost niemożliwą, gdyby taką mowę wypowiedział centrowiec. Tylko w polskiej duszy mogła zrodzić się ta wstrząsająca skarga, która nawet najzacieklejszym przeciwnikom naszym łzy wycisnęła i rumieńcem wstydu pokryła czoła.

Rola partyi centrowej, jako przystani politycznej dla ludu polskiego, skończyła się stanowczo i nie ma w świecie tej siły, któraby zdołała odrobić to, co się stało. To powinni zrozumieć centrowcy. W interesie sprawy katolickiej, której bronią, leży, by z tego jasnego i niezmiennego stanu rzeczy wyciągnęli jedynie rozumne konsekwencye, t. j. aby uznali Koło polskie za przyrodzoną ludności polskiej reprezentacyę polityczną i nie przeszkadzali ludności naszej organizować się na podstawie tej przynależności.

Ludność polska w zaborze pruskim musi dążyć do najdalej posuniętej solidaryzacyi narodowej i politycznej, a do tego celu prowadzi droga nie przez partyę centrową, lecz przez frakcyę polską. I gdyby sto razy prawdą było, że Koło polskie nie zdoła obronić praw naszej ludności, to jednak ma ono tę wyższość, że jest reprezentacyą polską, że w niem krystalizuje się idea politycznej i narodowej solidarności wszystkich pod berłem pruskiem żyjących Polaków, że ona zwolennikom swoim nadaje szczytne miano Polaków i pod kątem widzenia specyficznie polskich interesów, a więc zgodnie z duchem i tradycyą narodu oryentuje swoją politykę.

Zamach stanu
w Rosyi.

Jak wiadomo poniósł Stołypin w radzie państwa wielką klęskę i to na gruncie wewnętrznej polityki państwowej.

Rząd bowiem zamierzał wprowadzić także na Rusi i Białorusi samorząd ziemstw. Stołypin, pragnąc w krajach tych wpływ Polaków, stanowiących tam warstwę inteligentną i posiadającą, zupełnie wyeliminować, wypracował bardzo zmyślny system wyborczy opierający się na kuryach narodowościowych. Projekt ten, obliczony — jak się powiedziało — na zupełne niemal wykluczenie Polaków z ziemstw, przeszedł w nacyonalistycznej dumie rosyjskiej i sądzono, że przejdzie także bez trudności w radzie państwa, znanej jako posłuszne narzędzie reakcyjnej polityki rządowej. Lecz stała się rzecz sensacyjna. Rada państwa projekt odrzuciła. 134 członków izby wyższej oświadczyło się przeciwko projektowi, a tylko 23 głosowało za reakcyjnym, a raczej barbarzyńsko-nacyonalistycznym stołypinowym projektem, który o tyle jeszcze uważać należy za niebezpieczny i niemądry, że w sferę lokalnego samorządu, mającego służyć ku skoncentrowaniu gospodarczych sił odnośnych krajów, sztucznie waśń narodowościową wprowadzał.

Wskutek tej porażki Stołypin podał się do dymisyi, a gazety ogłosiły już światu, że car dymisyę jego przyjął a urząd jego zlecił Kokowcewowi, dotychczasowemu ministrowi finansów. Wiadomość ta okazała się mylną. Stołypin bowiem nie upadł, lecz odniósł również sensacyjne zwycięstwo jak sensacyjną była jego pierwotna w izbie wyższej porażka.

Chorobliwie ambitny premier rosyjski nie wahał się interes publiczny i konstytucyę podporządkować interesowi osobistemu, nadużyć ustaw zasadniczych, by odnieść zwycięstwo nad swemi wrogami. W osobistych bowiem, a

także zasadniczych politycznych przeciwieństwach należy upatrywać źródło klęski Stołypina. Wymógł tedy u cara zrelegowanie swych największych antagonistów z izby wyższej Durnowa i Trepowa aż do końca roku, uzyskał ukaz carski, na mocy którego posiedzenia obu izb ustawodawczych zawieszono na 3 dni, i na podstawie naciągniętego oczywiście w tym celu artykułu



Stołypin, prezes ministerstwa rosyjskiego.

87 ustaw zasadniczych, odrzucony swój projekt ogłosił prawem. Ponieważ konstytucya jednak przepisuje, że ustawa w ten sposób przeforsowana musi być w przeciągu dwóch miesięcy na nowo przedłożona ciałom ustawodawczym, a oburzenie w obu izbach na gwałt Stołypina jest wielkie, przeto ciekawych wielce i burzliwych należy oczekiwać obrad.

Nie brak głosów uważających stanowisko Stołypina za poważnie mimo wszystko zachwiane, nie brak i innych, które przewidują rychłe rozwiązanie parlamentu rosyjskiego.

Jak się sprawy te istotnie mają, trudno z oddali skonstatować. Natomiast łatwo zrozumieć, że konstytucya, posiadająca w komplecie swych artykułów takie ciekawe paragrafy jak ów artykuł 87, jest niczem innem jak prostym szantażem. Nic łatwiejszego bowiem jak przez systematyczne zastosowywanie tegoż paragrafu pozbawić ciała ustawodawcze wszelkiego na ustawodawstwo wpływu i konstytucyę zamienić w iluzyę...

Gdyby człowiek w życiu nie zmieniał opinii, postęp byłby niemożebny, ale kto swe zasady i ideały odrzuca i depce nogami, ten tak czyni, jakby matkę sprzedał za kawał czarnego chleba.

Zygmunt Kaczkowski.

* * *

O uświadomieniu kobiety.

„Dopóki kobiety nie wzniosą się „myślą po nad błyskotki i próżność, „póki będą stały w społeczeństwie jak „lalki, dzieci, bóstwa albo kwiatki — a „nie jak ludzie, póty w życiu społecz„nem brakować będzie pierwszej pod„stawy dobrego.“

Słowa Orzeszkowej. Aby doniosłość powyższego zdania pojąć, aby w myśl słów naszej wielkiej myślicielki postępować, koniecznem jest rozumne uświadomienie kobiety.

Dom, dzieci, mąż i rodzina, oto hasło, około którego wolno było kobiecie dotąd się obracać. Na arenę pracy społecznej popchnęły ją dopiero wypadki dziejowe, chociaż już w dawnej Polsce dostrzegamy kobiety zmuszone do pracy poważniejszej. Częste wojny z mocarstwami sąsiedniemi, także i niesnaski domowe, odrywały mężczyzn od właściwej pracy około utrzymania domu i zagonu, i nieraz wtenczas zdarzało się, że kobieta pozostawiona sama, energicznie i roztropnie podejmowała obowiązki męża i należycie je spełniała.

Nie obce jej też były trudy i niewczasy wojenne. Po upadku ojczyzny widzimy je nawet w obozach powstańczych, to znów mężnie i odważnie przechowujące powstańców, pielęgnujące rannych itp.

Nie taka działalność przecież odpowiada kobiecie i nie tego od niej ogół społeczeństwa dzisiejszego wymaga. Tak jak mężczyźni uznali, że daremne były straszne krwi przelewy i tak jak uznali, że tylko mrówcza praca i ogólna oświata wrócić nam może utracone ideały, tak i kobiecie nakreśloną została droga działania.

Jakąż zatem jest ta droga? — Jak może działać i czem się zasłużyć społeczeństwu kobieta — Polka?

Od dzisiejszej kobiety wymaga się przedewszystkiem uświadomienia, aby jako taka, interesować się mogła każdą sprawą bieżącą, naród nasz żywo interesującą. Winna być uświadomioną, aby przyszłemu pokoleniu dać wychowanie na zasadach szczerze narodowych oparte. Winna być uświadomioną, aby przyszłemu pokoleniu drogę życia należycie wskazać. Winna być uświadomioną,, aby umiała wyzyskać prawa. Winna być uświadomioną o tyle, aby korzystając z tych praw, sukcesa moralne ztąd odnosiła, i dla dobra swego otoczenia i ogółu je zużytkowała.

A zatem do każdego ważnego zadania w czynności kobiety, potrzebne jej uświadomienie. Zowiemy je wykształceniem.

Odkąd zrozumiano znaczenie działalności kobiety w społeczeństwie, odkąd zrozumiano potrzebę jej wykształcenia i odkąd poczęto działać w tym kierunku, wyłoniła się niejedna droga fałszywa, po której kroczy dzisiejsza kobieta.

Wykształcenie dzisiejszej kobiety opierać powinno się na trzech głównych zasadach, jeżeli przynieść ma owoce dodatnie.

Po pierwsze: winno licować z jej przyrodzonemi zdolnościami.

Po drugie: licować z domowem wychowaniem.

Po trzecie: nie przekraczać środków zamożności rodziców.

Wyższe wykształcenie kobiety koniecznem staje się tam, gdzie są odpowiednie środki po temu, i winno być bardzo gruntowne; dalej tam, gdzie ma się stać środkiem późniejszego utrzymania kobiety. Lecz koniecznie winno być też takiem, aby nabyte wiadomości ku ogólnemu dobru użytkować można. To, co ogólnie nazywamy wykształceniem kobiety, nie jest jeszcze tem, czego społeczeństwo od wykształconej kobiety wymaga. Znajomość kilku języków, (czasem nie bardzo dokładna), znajomość muzyki, malarstwa, lub artystycznych prac ręcznych, zachwyci może niejednego, zadowolić może ostatecznie własnego męża, lecz zupełnie nie wystarczy społeczeństwu. Tam gdzie chodzi o skupienie wszystkich sił, tam kobiety posiadające prawdziwe wykształcenie, muszą być przodowniczkami innych.

Wyższe wykształcenie kobiety, pomimo, że się taki nacisk na nie kładzie, należy jednak tylko tam zastósowywać, gdzie są odpowiednie środki na kształcenie. Zdarza się często, że rodzice niezamożni, borykają się z biedą, lecz ostatki wydają na to, aby córka zwała się panną, „która pensyę ukończyła“. Stosunki takie często napotykamy w Księstwie, a tu na obczyźnie niestety częściej w rodzinach polskich niż niemieckich. Gdybyśmy dokładnie obserwowali późniejsze życie takiej pensyonarki, dostrzeglibyśmy nieraz, że nie ukształtowało się ono tak, jak sobie rodzice i panienka wymarzyli.

Dzisiejsza szkoła elementarna obejmuje z wyjątkiem obcych języków wszystkie w życiu codziennem potrzebne działy, które, gdy dobrze poznamy, niejednej w życiu wystarczą, zwłaszcza tam, gdzie kształcenie dzieci wymaga

wielkich ofiar. A także przydałby się niejednej kobiecie, choć mały tylko posag w zamian za opłatę pensyi.

Dobre wykształcenie elementarne, połączone z stósownem i rozumnem wychowaniem domowem, w dodatku kilka groszy posagu, zaoszczędzonych przez to, że nie opłacano drogich pensyj, nie wykolei kobiety z prostej drogi życia. Chcącej pogłębiać wiedzę, stoi otwarta droga samokształcenia się za pomocą dzieł, książek przeróżnych, w które literatura nasza szczególnie bogata. Przy dobrej chęci, można się także przysłużyć sprawie społecznej i temi wiadomościami.

Natomiast na niepewnej drodze znajdzie się panienka, po ukończeniu pensyi tam, gdzie niema środków na dalsze kształcenie, a obecne jest niewystarczające. Dobrze, gdy na podstawie zdobytych nauk ujmie jaki zawód w rękę, nie zawsze się przecież tak dzieje. Często panienka po ukończeniu pensyi pozostaje w domu, w błogiem oczekiwaniu przyszłego, możliwie bogatego, lub w świetnej pozycyi pozostającego męża. Nierzadko w oczekiwaniach spotyka ją zawód, gdyż nie zawsze znajduje się mąż, który bierze żonę li tylko dla piękności jej wdzięków.

Inną fałszywą drogą dla kobiety jest chwytanie się zawodów nieodpowiednich ani stanowi, ani domowemu wychowaniu. I tak, córka małego rzemieślnika, który tylko pracą rąk własnych rodzinę utrzymać musi, nie uchybi sobie wcale, jeżeli ukończy szkołę elementarną, jako przyszły zawód krawieczczyznę, albo inny podobny, który pozwolę sobie nazwać rzemiosłem kobiecem, obejmie. Jeżeli jednak z tych szczupłych ramek skromnego domku rzemieślnika wysunie się córka na pannę biurową albo sklepową, uznaję to jako objaw niezdrowy. Taka panienka w swej główce niedoświadczonej, przeświadczona o swej wyższości ponad krawcową lub inną pracownicę, prędko nosek w górę uniesie, pocznie się wstydzić skromnego pochodzenia i — warsztatu ojca. Z góry już spogląda na rzemieślnika, a też rzemieślnik taki, sam się nie posunie do takiej panienki, gdyż słusznie brzmi jego zdanie: „Co zrobię z taką żoną“. — Rzadki też traf, że takie panienki za mąż wychodzą, przeważnie starzeją się po biurach, a młodzież miejscowa wzajemnie odwodzi się od „zarozumiałej panny“. Czy taka kobieta zadowolona z życia, o tem powiedzieć zdolne chyba jej najgłębsze tajnie.

Jeszcze niezdrowszym objawem jest, jeżeli córki prostych robotników, ludzi najwięcej na kawałek chleba pracujących, najmniej mogących albo umiejących wagi kłaść na domowe wychowanie dzieci, jako zawód obierają sobie książkowość lub kupiectwo. Dzieje się tak często tu na obczyźnie w rodzinach polskich, powoli się tu niemczących. Tak jak język niemiecki, tak też i przytoczone zawody są tu niezdrową oznaką wyższej kultury, którą biedni ci, starają się błyszczeć w oczach ziomków w kraju pozostających. Trudno tym ludziom wytłomaczyć, że nie mądrze postępują, często tam można usłyszeć zdanie matki: „Dosyć ja się nasłużyła, całe życie po posługach nabiegała, niech moja córka ma lżej.“

Może nie od rzeczy będzie uprzytomnić sobie niebezpieczeństwa grożące takiej panience. Domowe wychowanie pozbawiło ją najkonieczniejszych względów towarzyskiej ogłady, często jej powierzchowność z wrodzoną nieumiejętnością ubrania się sprawiają, że powierzchownością samą już nie odpowiada swemu zawodowi, i albo uzyskuje miejsce mniej płatne, albo nie znajduje go wcale. Największem przecież niebezpieczeństwem bywa to, że wspomniany tu odłam kobiet, prawie połowę prowadzi w objęcia prostytucyi. Z reszty nie można się spodziewać ani dobrych żon, ani dobrych matek; są to kobiety dla społeczeństwa w części stracone, gdyż postawione na drodze życia, która je wyrzuciła z rodzinnej sfery, a przeniosła w warunki życia zupełnie z domowem wychowaniem niezgodne, są z siebie i losu swego niezadowolone, i całe życie borykając się z smutnemi zawodami, nigdy nie będą zdolne wznieść się ponad poziomość naszego życia.

Charlottenburg, 22. III. 1911.

Stanisława K.

(Dokończenie nastąpi.)

Bóg wszechmocny, wszystko wiedząc, ukrywa, a zły sąsiad, nic nie wiedząc, rozgłasza.

Samuel Otwinowski.

* * *

Baczność!

Ponieważ z powodu późnego zapisania „Pracy“ na poczcie, wielu Czytelników nie otrzymuje z poczty pierwszego numeru na nowy kwartał, zatem niniejszy numer 14-ty wydaliśmy z datą 31-go marca, by tym sposobem mogli go otrzymać wszyscy Czytelnicy, więc także ci, którzy się spóźnili z odnowieniem przedpłaty na bieżący nowy kwartał.

Gospodarstwo, leśnictwo, handel drzewa.

Pewien czytelnik zapytuje nas, czy należy w tytule wymienione zawody polecać młodzieńcom, posiadającym wyższe gimnazyalne wykształcenie, lecz nie rozporządzającym znaczniejszemi kapitałami.

Nie ulega wątpliwości, że posiadanie znacznego majątku uproszcza wybór zawodu. Jednakże majątek nie jest przy wyborze zawodu rzeczą najważniejszą. Najważniejszem jest zamiłowanie, tudzież stan zdrowia i sił kandydata.

Bez zamiłowania nie ma dzielności zawodowej, nieodzownej w dzisiajszych czasach. Nie może jej być i tam, gdzie zdrowie i siły nie dopisują.

Tak gospodarstwo jak leśnictwo wymaga czerstwego zdrowia i stawia do sił fizycznych adepta znaczne wymogi. Nie są one jednak tego rodzaju, żeby normalnie rozwinięty młody człowiek im miał nie sprostać.

Oba te zawody wymagają gruntownego, praktycznego i teoretycznego przygotowania. Lepsze stanowiska otrzymują dziś niemal że wyłącznie ludzie z akademickiem wykształceniem.

Podczas gdy leśnicy z reguły skazani są na objęcie posad zależnych, (jest ich jeszcze dużo i dobrych w Królestwie, na Litwie i Rusi, a także w Galicyi) gospodarze obok stanowisk zależnych mają jeszcze możność osiągnięcia samodzielności przez kupno lub dzierżawę majątku. Kto ma pieniądze, dla tego kwestya usamodzielnienia się nie przedstawia trudności. Dzierżawy są dziś wprawdzie bardzo drogie, a przedewszystkiem trudne, gdyż popyt wielki, a podaż dzierżaw mała — i prawdopodobnie stale zmniejszać się będzie, natomiast okupić się na ziemi zawsze będzie można.

Inna sprawa z tymi, którzy nie rozporządzają kapitałami. Ci wskazani są na stanowiska rządców gospodarczych, a wytrzymają tylko konkurencyę, gdy się będą mogli wykazać pierwszorzędnemi kwalifikacyami. Naszem zdaniem pola pracy dla dobrych agronomów jest u nas jeszcze dużo. A także zagranicą Księstwa popyt jest wielki. Jak w każdym zawodzie tak i w gospodarstwie dla dzielnych i pracowitych ludzi zawsze jeszcze pomyślna się otwiera karyera, ziemia zawsze jeszcze wyżywi

tych, którzy umiejętnie i z zamiłowaniem w niej pracują.

Co do handlu drzewa, to wiadoma, że ta gałęź kupiectwa spoczywa w naszych stronach w wielkiej mierze jeszcze w rękach obcych, żydowskich przeważnie. Jestto interes donośny, lecz wymagający znacznych kapitałów. Zazwyczaj pozostaje on w łączności z tartakami. Lecz zapomnieć nie trzeba, że w branży tej są dla należycie wykwalifikowanych fachowców dobrze płatne zależne posady. Zresztą dla fachowca nie zbyt trudno będzie przy obecnej łatwości kredytu znaleźć bądź to potrzebne kapitały na rozpoczęcie przedsiębiorstwa na własną rękę, bądź to wynaleść spólników z kapitałem, by na podstawie spółkowej ufundować przedsiębiorstwo.

Wogóle zaznaczyć należy, że w naszych stosunkach, gdzie idea współdzielcza tak dodatnio się rozwija, nie tyle o kapitały chodzi, co o ludzi umiejących niemi zarządzać. Kapitał znajdzie się stosunkowo łatwo, byle tylko człowiek, który go pożąda, budził należyte zaufanie. Pierwszym zaś warunkiem ku temu znowu jest znakomita znajomość fachu, nie mówiąc już o prawości charakteru, która we wszystkich stosunkach ludzkich jest nieodzowna.

Jesteśmy zdania, że zawodu złego nie ma wogóle. Każdy jest zły, gdy człowiek nieodpowiedni, każdy jest dobry, gdy człowiek wnosi doń potrzebne warunki. Zatem niechaj przy wyborze zawodu przedewszystkiem rozstrzyga zamiłowanie i talent aspiranta. Kochać trzeba swój zawód, a wtedy skromne i po wielkich trudach zdobyte utrzymanie więcej da zadowolenia niż dostatek przy zajęciu obojętnem lub wstrętnem.

Skoro mowa tu o młodzieży z wyższem wykształceniem, należy jeszcze wskazać na zawód lekarski i prawniczy. Zazwyczaj sądzi się, że w tych fachach panuje przepełnienie. Być może, że tak jest u Niemców i żydów. U nas daleko do tego. Adwokatura przeważnie jeszcze u nas jest w rękach obcych, niemieckich i żydowskich, a w każdym razie nie ma ani w przybliżeniu tylu polskich adwokatów, ilu by procentualnie społeczeństwo polskie mieć powinno. Mniej więcej to samo należy powiedzieć o stanie lekarskim. Szczególnie na prowincyi miejsc dla adwokatów i lekarzy jest jeszcze dużo. Przepełnienia w tych zawodach bardzo długo jeszcze nie będzie. Również weterynarzy Polaków brak jeszcze dotkliwy, także dentystyka jeszcze nie wyzyskana. Nie zapominać trzeba o karyerze bankowej, o branży zbożowej, dla której adeptów w „Rolnikach“ tak rozległe się otwiera pole działania.

Wybór jest duży i nie ma obaw, żeby dla młodzieży naszej chleba zabrakło.

Wprawdzie urzędy dla nas zamknięte, a przynajmniej tak dobrze jak zamknięte, lecz nie należy tego uważać za klęskę. Właśnie tej okoliczności zawdzięczamy w znacznej mierze postępy, jakie robimy w dziedzinie ekonomicznej, to, że dorobiliśmy się względnie miernego średniego stanu.

W Galicyi np. urzędy są dla Polaków otwarte. Wszystko, co żyje, ciśnie się do magistratur i marzy o złotym kołnierzu. Tymczasem rolę i handel zalewa żydostwo, kraj marnieje, lud ucieka na Saksy i do Ameryki lub mrze w kraju na tyfus głodowy. I urzędnik jest potrzebny, lecz nie on jest ideałem obywatela, ideałem człowieka. Nie w urzędzie, lecz w wolnem współzawodnictwie wyrabia się charakter i dzielność człowieka. Nie praca urzędników, lecz praca na roli, w handlu i przemyśle, w wolnych zawodach daje swobodę, niezależność i zbogaca i uszlachetnia narody. Imajmy się jej z zapałem, a Bóg nam pobłogosławi.

Przegląd prasy.

Skandaliczną gospodarkę,

jaką uprawia w Muzeum Rapperswilskiem kustosz muzealny p. Rosenwerth Rużycki, piętnuje na łamach „Dziennika Poznańskiego“ p. Ludwik Straszewicz. Czytamy tam między innemi:

Bardzo poważni, bardzo wiarogodni świadkowie, w tej liczbie pisarz S. Żeromski, dyrektor Muzeum narodowego w Krakowie, wielki znawca przedmiotu, Kopera, Wł. Kłyszewski, opowiadają o gospodarce rapperswilskiej okropne rzeczy. Ściśle — okropne!

Skarby narodowe giną. Pamiątki i dokumenty dziejowe marnują się bezpowrotnie. Kustosz Rosenwerth Rużycki, to, wedle tych świadectw, niszczyciel i fałszerz zawodowy! Wandalskiej jego działalności niepodobna wytłumaczyć nieuctwem — to jakiś monoman, który w tępieniu znajduje rozkosz, który rujnuje Muzeum z zajadłością.

Wszystko powtórzyć niepodobna.

Kustosz Muzeum rapperswilskiego podziurawił cenne elzewiry, bo strzelał do nich z pistoletu!

Księgę, zawierającą pierwsze odbitki sztychów znanego rysownika Antoniego Oleszczyńskiego, p. R. Rużycki zgiął i wsadził pod pakę z lakierami, które je zalały.

Niezmiernie ważny zbiór wycinków z gazet w sprawie polskiej, mozolnie zebrany i skompletowany przez znanego badacza Leonarda Chodźkę, kusztosz łopatami kazał wyrzucić na dziedziniec, a potem zanieść do szopy z podziurawionym dachem — zrobiła się mierzwa!

„Był to skarb nieoceniony, nieopisany“ — świadczy p. Żeromski.

„Prześliczną akwarelę znakomitego malarza Maksymiliana Gierymskiego, „Powstaniec na koniu,“ użyto do podklejenia jakiejś pospolitej litografii.

Obok niszczycielstwa — fałszerstwo. Bezcelowe, niedorzeczne, niedołężne. Fałszuje się wszystko, obrazy mistrzów, pamiątki, sprzęty.

Model chłopa krakowskiego z kosą, p. kustosz przerabia na... Bartosza Głowackiego. W tym celu każe kosę nabić na sztorc. Za pas wtyka chłopu pistolety kapiszonowe, których w epoce Kościuszki jeszcze nie znano. U pasa wiesza mu pałasz podoficera rosyjskiego, zrobiony w Tule, a ramiona zdobi w epolety francuskie z roku 1873-go! I tak przybranego stawia przy łóżku Kościuszki, aby „pilnował wodza!“

Niezmiernie przykre, jakieś bluźniercze fałszerstwo popełnił p. R. R. na koszuli Kościuszki. Wiedział dokładnie, że pochodzi ona z ostatnich lat życia naczelnika, gdy już mieszkał w Szwajcaryi, a kazał jej grać rolę okrwawionej koszuli z pod Maciejowic!

Różne kłamstwa wyrabiano z laską jakąś, zacierano napisy, komponowano nowe, zmieniano, aby z niej zrobić pamiątkę narodową i t. d.

Okropne rzeczy! Chciałoby się je uznać za nieprawdopodobne, za niemożliwe! Nie można, bo pochodzą od takich kompetentnych, takich poważnych i wiarogodnych ludzi!

Wobec tego przypomina p. L. Straszewicz konsekwentnie głoszone żądanie Karola Estrejchera, by Muzeum Rapperswilskie przeniesiono do Krakowa i sam się tegoż przeniesienia domaga.

Są to oczywiście skandaliczne rzeczy. Co do nas nie jesteśmy temi rewelacyami zbytnio zadziwieni. Bawiąc bowiem przed mniejwięcej 10 laty w Rapperswilu, mieliśmy sposobność na własne oczy się przekonać o nieporządku, który w Muzeum panował. Woźny oprowadzający nas po Muzeum, oczywiście po polsku nie umiejący, pokazywał nam kilka przedmiotów przez p. R. Rużyckiego rzekomo „zreparowanych“. Wogóle mania „reparowania“ ma należeć do specyalności rapperswilskiego kustosza. Po zatem już wówczas niektóre przedmioty były uszkodzone. Uszkodziły je według zeznania woźnego goście, którzy chodzą po salach bez najmniejszego dozoru. Tak np. zupełnie zniszczono jakąś większą rzeźbę Lenartowicza, utrącając głównym figurom głowy. Wogóle myśl sama umieszczenia Muzeum w Rapperswilu, w mieścinie odległej od głównego toru kolejowego, nie może uchodzić za szczęśliwą. Każdy bowiem specyalnie tam jechać musi, chcąc Muzeum zwiedzić. Stąd nad wyraz małe dochody ze wstępnego. Gdyby Muzeum było w

Lucernie, Zurychu lub w którem z większych miast szwajcarskich, zbiór byłby bez porównania większy, zwiedzałaby je nietylko Polacy, lecz tłumy zagranicznych gości przesuwających się co roku przez Szwajcaryę.

Najwyższy czas, by skandalicznej tej gospodarce w jaki bądź sposób stanowczy koniec położono.

* * *

Po walnem zebraniu „Straży“. Pod tym nagłówkiem umieścił *„Kurjer Poznański“* artykuł, z którego przytaczamy, co następuje:

Walne zebranie dało rzeczywisty obraz obecnego okresu rozwoju Straży, obraz zarówno silnych, jak słabych stron organizacyi.

Żywym obrazem dzisiejszej Straży było walne zebranie przedewszystkiem przez swój słaby udział delegatów. Straż stoi w rzeczy samej jednostkami. Jedyny wyjątek stanowi wychodźtwo, znajdujące się w specyalnych warunkach.

Pozostając przy organach centralnych, stwierdzić można bez przesady, że działalność ich po okresie chaosu wykazuje niewątpliwe zrównoważenie i poważny postęp. Można się oddawać nadziei, że stałe trwanie przy obecnych zasadach solidnej pracy zjedna Straży pełne zaufanie tych wszystkich, którzy do niej uzasadnione zaufanie mieć pragną.

Że zaufanie to rośnie, tego dowodem znaczny wzrost funduszów zarówno kasy głównej jak Wydziału oświatowego. A od funduszów tych zależy oczywiście w znacznej mierze zakres i powodzenie pracy. Praca Zarządu, Biura i Wydziału kulturalnego doznała na walnem zebraniu bardzo życzliwego przyjęcia. Zrobiono istotnie, co leżało w granicach możności.

Przeciwieństwem do intensywnej działalności organów centralnych jest wciąż jeszcze bezradność towarzystw miejscowych, należących do związku. Są wszakże wyjątki, a te wyjątki dowodzą, że zorganizowanie systematycznej agitacyi narodowej nie jest bynajmniej niemożliwością, choć niewątpliwie wymaga wielkiego wysiłku woli i wytrwałości w pracy.

Towarzystwa miejscowe znajdują się wciąż jeszcze w okresie przełomowym. Okres ten potrwa może jeszcze dłuższy czas, aż organizacye lokalne uczują pod sobą ostatecznie pewny i mocny grunt.

Jakiekolwiek zresztą wahania przechodzić jeszcze będzie rozwój towarzystw miejscowych, jest przewodnia linia pracy organów centralnych tak silnie nakreślona, że się już załamać nie może. Praca Biura i Wydziału kulturalnego jest już czemś wyraźnie skrystalizowanem, pewnem i trwałem.

* * *

Niewzruszoną pedagogiczną zasadą jest, że podstawą wszelkiego rozumnego nauczania może być tylko język ojczysty. W Prusach jednak, o ile to dotyczy ludności polskiej, zasada ta nic nie znaczy. Rząd twierdzi bowiem, że dwujęzyczna szkoła jest technicznie niemożliwą. Innego zdania jest sekretarz stanu dla Alzacyi i Lotaryngii, gdyż stwierdził w parlamencie, że używanie języka francuskiego w szkołach tych krajów jest nieodzowną koniecznością, bo bez niego dzieci francuskiego pochodzenia nigdy się po niemiecku nie nauczą. Zresztą także z tego względu nie chce sekretarz stanu usuwać w szkołach w Alzacyi i Lotaryngii języka francuskiego, ponieważ język ten w późniejszem życiu ludności jest potrzebny i nie znający go ekonomicznie byliby poszkodowani w walce o chleb. Oczywiście, że kubek w kubek to samo należy powiedzieć o języku polskim w polskich dzielnicach, lecz tam gdzie chodzi o Polaków rząd inną ma miarę i inne zasady.

Pisze w tej sprawie *„Górnoślązak“:*

Przedstawiciele rządu, szczególnie zaś podsekretarz stanu Schwarzkopf, który od lat wielu kieruje polityką szkolną, dowodzi zawsze, że szkoły dwujęzyczne są niedorzecznością, że nauczanie języka polskiego jest zbyteczne, że nauczyciel przy nauczaniu dzieci polskich języka niemieckiego nie powinien i nie potrzebuje się posługiwać językiem polskim, bo metoda uczenia na „migi“ jest najznakomitszą w świecie. Języka polskiego uczyć nawet prywatnie nam zakazują i prawem kaduka karzą za nauczanie prywatne języka polskiego. I to mimo, że język polski w codziennem życiu w handlu i przemyśle w prowincyach polskich koniecznie jest potrzebny, a ten, co nie umie czytać i pisać po polsku, ponosi szkody materyalne. Sejm pruski na wniosek rządowca posła Vierecka uchwalił w tym roku, aby na wschodzie państwa uczono na żądanie w szkołach wyższych języka rosyjskiego zamiast angielskiego, bo język rosyjski jest Niemcom potrzebny w handlu z sąsiednią Rosyą. Ale ten sam sejm ruguje gdzie może język polski, chociaż ten i Niemcom potrzebniejszy jest w handlu i przemyśle zarówno w kraju jak i w stosunkach handlowych z bliskiem Królestwem i Galicyą. Antypolska polityka szkolna w Prusiech staje się z dnia na dzień śmieszniejszą, a ośmiesza ją mimo woli sam rząd i same partye hakatystyczne. Wniosek Vierecka o nauczanie języka rosyjskiego jest mimowoli surowym wyrokiem na nierozumne rugowanie języka polskiego ze szkół, a wystąpienie sekretarza stanu Alzacyi Zorn v. Bulacha jest najsurowszem potępieniem pruskiego ministra oświaty i jego polityki szkolnej na ziemiach polskich.

Dodać należy, że w sprawie tej wygłosił w sejmie przy etacie szkolnictwa poseł Trąmpczyński znakomitą mowę. Minister ani słowem na wywody posła naszego nie odpowiedział z tej prostej oczywiście przyczyny, że im zaprzeczyć nie mógł.

Gdy ideały twe świat błotem zbrudzi,
Zamknij je w sobie, ale kochaj ludzi.

Piotr Parylak.

* * *

Jedno słowo z ust pięknych więcej ma potęgi,
Niżli wielotomowe filozofów księgi.

A. E. Odyniec.

Wolne głosy.

Poznań, dnia 21. III. 11.

Szanowna Redakcyo!

Jako wierna czytelniczka „Pracy“ kochanej, udaję się z całem zaufaniem do Szanown. Redakcyi z uprzejmą prośbą czyby nie była tak łaskawą wskazać mi jakim sposobem, — gdzieby się najlepiej udać — aby uzyskać zbyt robót ręcznych, kobiecych, artystycznych i modnych.

Byłabym niewymownie wdzięczna Szanown. Redakcyi za te informacye, gdyż krewna moja, zmuszona pracować na chleb, mogłaby najlepiej w ten sposób na niego zapracować, albowiem wykonuje roboty prawdziwie piękne. Kobiety niemieckie, mają swoje tak zwane „Frauen-Gewerbevereiny“, które starają się o zbyt robót swoich członków, lecz nie wiem czyby Polka mogła brać w tem udział, a u nas — niestety — dotąd wcale nie pomyślano, aby coś podobnego urządzić, a byłoby to wielkiem dobrodziejstwem dla wielu niezamożnych kobiet. W komis nasi kupcy też pewnie nie chętnie przyjmują.

Czytelniczka „Pracy.“

Od Redakcyi: Prosimy Szan. Czytelników o łaskawe informacye w tej ważnej sprawie.

Zdzisław Leitgeber.

Najnowsi powieściopisarze polscy

(1863—1910.)

III.

Henryk Sienkiewicz.

Henryk Sienkiewicz urodził się 4. maja 1845 w gubernii Radomskiej. Do szkół wyższych uczęszczał w Warszawie. Pochodził z rodziny istotnie rycerskiej: dziad jego brał udział w wojnach napoleońskich, ojciec walczył w obu powstaniach przeciw Rosyi, starszy brat przelewał krew służąc w szeregach Garibaldiego. Łatwo zrozumieć, że pisarz takie tradycye rodowe mający, mógł tak wiernie upamiętnić czasy Grunwaldu i okres bojów w dobie Jana Kazimierza.

Zawód literacki rozpoczął Sienkiewicz od recenzyj teatralnych, roztrząsań krytycznych i artykułów dziennikarskich. Pierwszą powieść swoją „Na marne“, dotyczącą życia studentów kijowskich, publikował roku 1872. W tymże czasie był współpracownikiem „Słowa“; podpisywał się tu pseudonimem Litwos. Podróżował potem po Europie, Ameryce i Afryce i zwrócił na siebie uwagę „Szkicami węglem“. Osiadłszy znów w kraju wydał kilka opowiadań: „Za chlebem; — Bartek zwycięzca; — Janko muzykant; — Stary sługa; — Hania“.

Oprzykrzyli mu się atoli drobni bohaterzy krótkich nowel; zapragnął więc tworzenia „na nowy sposób“; i przeszedł niebawem do historycznej powieści. Interesowały go minione czasy i ich burzliwe zdarzenia. W takim to nastroju powstała trylogia: „Ogniem i mieczem; — Potop; — Pan Wołodyjowski.“

Sienkiewicz nie zasklepia się w zawodowej pracy powieściopisarskiej, śledzi bieg wypadków i bierze w polityce udział czynny. Gdy roku 1904 w Rosyi zaświtała wiosna księcia Świętopełka Mirskiego, umieścił na łamach pisma „Rusi“ list żądający reformy pedagogicznej w Królestwie Polskiem: „Z szkoły powinni wychodzić zacni, otwarci, rozsądni obywatele, a nie ludzie zatruci jadem nienawiści. Szkoła winna wychowywać oświecone, zdrowe i moralne pokolenia, a taki cel w Polsce osięgnąć może tylko polska szkoła.“

Gdy roku 1905 zaprowadzono stan oblężenia w Królestwie Polskiem, zwrócił się Sienkiewicz znów z listem do społeczeństwa rosyjskiego: „Rzekomo cały kraj nadwiślański (sic) znachodzi się w położeniu rewolucyjnem. Zapytuję, kogo chcą tą hipotezą oszukać? Sąż te słowa wynikiem złej woli, czy dowodem nieznajomości naszego kraju i jego obecnych warunków?“

Wiadomo, jak głębokie wrażenie w całym świecie cywilizowanym wywarły manifesty dotyczące kwestyi polskiej w zaborze pruskim.

Temi występami w myśli patryotycznej i w obronie kultury podjętemi, oraz talentem swoim powieściapisarskim zyskał sobie Sienkiewicz mir u całego świata. Utwory jego przetłomaczono na wszystkie języki europejskie i na niektóre azyatyckie. Muzycy znajdowali w powieściach pobudkę do kompozycyj, malarze czerpali tematy do obrazów i ilustracyj.

Także literatura o Sienkiewiczu jest bardzo bogata. A warto zastanawiać się nad tym geniuszem.

Epokę cesarza Nerona usiłowało odzwierciedlić wielu powieściopisarzów, lecz żaden nie utworzył arcydzieła w rodzaju *„Quo vadis“*. Podpada czytelnikowi, że autor tu szczególnemi sympatyami obdarzył apostoła Piotra. Jaki to olbrzym duchowy, ten rybak pro-



Henryk Sienkiewicz.

sty co kościół zbudował na skale! Wjeżdżając do Rzymu, Neron ujrzał wśród tłumów Piotra: „Wzrok jego ustanowił się na apostole. Chwilę obaj patrzeli jeden na drugiego, a nikomu z błyskotnej świty nie przyszła myśl, że teraz spoglądają na siebie dwaj władcy świata. Jeden z nich miał niebawem przeminąć, jak krwawy sen, a drugi, starzec zmarszczkami okryty, zapanuje nad miastem i światem.“

„Ogniem i mieczem“ wprowadza na widownię Bogdana Chmielnickiego, wodza zbuntowanych kozaków.

Tło historyczne jest następujące: Wołyń, Podole i Ukraina dostały się pod skrzydła orła białego, mocą unii litewsko-polskiej dokonanej przez Jadwigę... Zrazu żyli Rusini z Polakami w najlepszej zgodzie. Gdy atoli Batory i Wazowie od napadów na Turcyę kozaków powstrzymywać zaczęli ze względu na bezpieczeństwo Rzeczypospolitej, wszczęła się nienawiść wśród ludności schyzmatyckiej. Zatargi ekonomiczne Ukraińców z szlachtą polską i ich wrogie usposobienie względem żydów, stale opieki prawa doznających, spotęgowały ciche wrzenie rewolucyjne, które Chmielnicki w nieugaszony płomień buntu rozdmuchał.

Głównym bohaterem historycznym w „Ogniem i mieczem“ jest książę Jeremi Wiśniowiecki, uosobienie cnót obywatelskich i męstwa, prawdy i sprawiedliwości: „Jego imię budzi postrach i trwogę; kozacy uciekają przed nim w panicznym popłochu. Gdy podczas natarcia na Zbaraż spostrzegli księcia, broń z rąk im wypada.“

„Potop“ opisuje zapasy z Szwedami.

„Pan Wołodyjowski“ jest najmniej historyczną częścią trylogii. Chodzi tu o walkę z Tatarami. Przedewszystkiem atoli opowiada nam autor o chrobrym rycerzu Wołodyjowskim, o jego przygodach, ślubie i śmierci. Romans kończy się opisem zgonu bohatera, który zginął przy obronie Kamieńca. Na pogrzebie Wołodyjowskiego, ksiądz wygłasza mowę patetyczną wyliczając jego zasługi i prosząc Boga, aby twierdzy zesłał wojownika podobnego zmarłemu... Wtem wchodzi do świątyni Sobieski.

Zbawca! — zawołał na jego widok kaznodzieja natchniony.

Sobieski stał się istotnie ostatnim pogromcą islamu.

Historycznym utworom Sienkiewicza dorównują zupełnie powieści współczesne: „Rodzina Połanieckich; — Bez dogmatu.“

* * *

O najnowszej powieści H. Sienkiewicza „Wiry“ tak pisze Z. Dębicki:

„Czy to prawda — mówił niedawno w świetnym, pożegnalnym wykładzie swoim prof. Ign. Chrzanowski — że wszelka *tendencya*, choćby najszlachetniejsza, jest śmiercią dla piękna, a więc i dla sztuki? *Tak* i *nie!* Tak, jeżeli tendencyi doszczętnie nie pochłonie wywołana przez nią wizya artystyczna; nie, jeżeli wywołująca wizyę artystyczną tendencya rozpłynie się w niej i rozpuści bez śladu. Że zaś i tendencya może odgrywać bardzo ważną rolę w genezie dzieła sztuki, że i ona może być jednym z pierwiastków, zapładniających wizyę artystyczną — temu zaprzeczyć ten jedynie może, kto nie zna historyi sztuki, ani wyznań artystów.“

Słowa te mimowoli przychodzą na myśl po przeczytaniu najnowszej powieści Sienkiewicza*), powieści nawskroś tendencyjnej, a jednak nie pozbawionej wysokich zalet artystycznych, któremu krzywdy nie potrafiła wyrządzić nawet *aktualność* — ten niewątpliwy wróg sztuki.

Aktualne bowiem są „Wiry“, tą żywą, drgającą aktualnością dnia wczorajszego, który nie zdążył jeszcze odejść od nas. Huczy w nich i przewala się grzmot niedawnej rewolucyi. Jarzy się łuna tego pożaru, który ogarnął umysły, oślepił oczy i pozbawił społe-

*) Henryk Sienkiewicz. „Wiry.“ Powieść. Tom I i II. Warszawa, 1910. Nakład Gebethnera i Wolffa.

czeństwo umiejętności jasnego patrzenia na rzeczy. Pieni się rozsadzający łożysko normalnego życia potok wezbranych namiętności i bluzga na prawo i lewo krwią zbrodni. Podnosi się żywiołowo rozpętana fala anarchii i podmywa zręby istnienia narodowego.

„Wiry! wiry!... — i to piaskowe. Piasek zasypuje całą Polskę i zmienia ją w pustynię, na której żyją szakale“...

Kiedyś chłodny i rozważny umysł historyka doby rewolucyjnej ukaże nam w przekroju to skłębione, znieprawione, smutne życie, nauczy nas oceniać rzeczy i zjawiska według ich miary istotnej. Dzisiaj nie możemy jeszcze obojętnie patrzeć na tę niedawną przeszłość. Targa ona do głębi naszem sercem, jest jeszcze w nas samych, budzi w nas grozę i ból. Grozy i bólu pełne są też stronice ostatniej powieści Sienkiewicza.

Narodziła się ona nie z woli spokojnego tworzenia artystycznego, ale powstała, jako *czyn obywatelski*, z gorącej chęci służenia ojczyźnie, z tych nakazów wewnętrznych, któremi Sienkiewicz ,jako pisarz, kierował się zawsze, niosąc talent, rozum i miłość swoją sprawie, nad inne ukochanej. Przemówił, bo dojrzał, że pod temi „wirami“, które kręciły się na powierzchni naszego życia, było coś więcej, niż jest gdzieindziej — będzie i jest bezdenna głębia cierpienia.

„Niema poprostu na świecie większego nieszczęścia, niż nasze. U nas ludzie budzą się rano i idą z pługami w pole, idą do fabryk, do biur, za ławy sklepowe i do wszelkiego rodzaju pracy — w bólu. Idą spać w bólu. Cierpienie — to wielka, bezbrzeżna, jak morze roztocz, zaś *wiry* — to tylko zmarszczki na tej roztoczy. A dlaczego tak cierpimy?. Przecie zaraz, jutro, moglibyśmy odetchnąć, moglibyśmy być szczęśliwi. Dośćby każdemu powiedzieć Jej, tej Polsce: „Zanadto mnie bolisz, zanadto mi dolegasz, więc się Ciebie wyrzekam i od dziś — chcę o Tobie zapomnieć.“ A jeśli tak, jeśli wolimy cierpieć, niż Jej się wyrzec, to gdzie nam do szakalów i gdzie Jej do zguby! Szakale szukają ścierwa, nie cierpienia! Więc ona żyje w każdym z nas, we wszystkich razem — i *przeżyje wszystkie wiry na świecie*. A my ściśniemy zęby i będziemy cierpieli dalej, — a jeśli Bóg tak zechce — to i nasze dzieci i nasze wnuki — i nie wyrzeczemy się nadziei.“

„I przeżyje wszystkie wiry na świecie“ — oto krzepiące, mocne słowo, które wzbija się ponad niedolę i rozpacz dnia dzisiejszego i pozwala patrzeć w przyszłość. Oto nienaruszalna, tajemnicza siła, zespalająca naród w walce o swoje jutro. „Dwadzieścia milionów ludzi to jednak jest materyał. Taki naród zjedzony będzie tylko wówczas, gdy się da zjeść. Lecz jeśli się nie da? Jeśli przez wielką i szlachetną pracę wytworzy oświatę, karność społeczną, dobrobyt, naukę, literaturę i sztukę, bogactwo, czerstwość, zdrowie, spokojną siłę wewnętrzną, to wówczas co? A kto może dziś powiedzieć, jak się ułożą w przyszłości stosunki polityczne i społeczne? Kto może zaręczyć, że dzisiejsze systemy rządzenia nie zmienią się całkowicie, nie padną i nie będą uznane za tak idyotyczne i zbrodnicze, jak są dziś uznane naprzykład tortury. Dzisiejsze stosunki przemocy mogą się zmienić na dobrowolne i swobodne unie. Wówczas dzisiejsi ciemiężcy może sami powiedzą nam: „urządźcie się, jak chcecie“. W obecnej chwili wydaje się to marzeniem, ale przyszłość nosi w swem łonie takie niespodzianki, o jakich nie śniło się nietylko politykom, ale i filozofom.“ A wobec tego jest *potrzeba żelaznej pracy*, natomiast niema potrzeby *zarzekania się i wyrzekania żadnych ideałów*.

Wezwaniem do tej „żelaznej pracy“ są „Wiry“, karta, wyrwana z kronik dnia wczorajszego.

Romans Władysława Krzyckiego z Hanką Skibianką, przeistoczoną w angielską miss Anney, jest tu koniecznem tylko tłem powieściowem do uwydatnienia tych wskazań naczelnych. Romans, zresztą, piękny i posiadający wszystkie cechy pióra Sienkiewiczowskiego.

Pachnie w nim przedewszystkiem wieś polska — pachnie żywicą swoich borów, kłosami pól, kwiatami łąk, wilgocią torfowisk. Oczy zachwycają się krajobrazami, które tylko niepospolite odczucie ziemi rodzinnej może tak malować. Uszy słuchają kląskania słowików po nocach i żabiej orkiestry, rozrechotanej do księżyca...

Słodki spokój dworu wiejskiego w Jastrzębiu mącą jednak odgłosy ze świata. Dolatuje tu pomruk zbliżającej się burzy. Student Laskowicz, korepetytor młodszego Krzyckiego, agituje, jako wysłannik partyi wśród chłopów z sąsiedniego Rzęślewa. Partya działa w okolicy i szafuje wyrokami śmierci. Otrzymał ich już kilka dr. Szremski, lekarz z poblizkiego miasteczka. Otrzymuje także „swój“ wyrok Władysław Krzycki, znienawidzony przez Laskowicza, który uważa go za rywala w miłości ku cudnej pannie Maryli Zbytowskiej. Strzał pada w lesie rzęślewskim i Władysław, ciężko ranny, przychodzi powoli do zdrowia pod opieką Angielki. Wypadek ten powoduje naprzód uczuciowe zbliżenie się młodej pary, potem wyjazd wszystkich mieszkańców dworu do Warszawy, gdzie bądź co bądź bezpieczniej. Są to jednak tylko pozory bezpieczeństwa. W istocie bowiem w Warszawie jest gorzej. „Rewolucya“ dochodzi do absurdu. Partye wywrotowe popełniają cały szereg błędów, pomyłek i zbrodni. Ofiarą jednej z takich „pomyłek“ jest panna Marynia — biały kwiat o duszy anielskiej, naznaczony krwawym stygmatem męczeństwa, cicha, jasna dzieweczka, padająca od ślepej kuli bandyty, jakby na znak i na świadectwo tego, że dalej nie może się już posunąć bezsensowność „ruchu wolnościowego“, który stanął do walki z własnem społeczeństwem i wciągnął je w „wir“ zupełnej niepoczytalności.

Dokoła tej postaci, dokoła tego *dobra*, idącego przez świat jak lilia, skupiły się wszystkie inne postaci powieści.

Marynia, rysowana z tą niezwykłą, jednemu tylko Sienkiewiczowi właściwą, subtelnością — to jakby dorosła Litka z „Rodziny Połanieckich“ Geniusz uczucia obrał sobie jej wątłe, piękne ciało za siedlisko, a drobne jej, białe ręce zdają się błogosławić całemu światu i odpuszczać winy wszelakie tym „którzy nie wiedzą, co czynią“.

I temu to właśnie stworzeniu, umiłowanemu przez wszystkich, tej artystce z bożej łaski, temu dziecku o niewinnej duszy — los przeznaczył śmierć, wstrząsającą swym tragizmem.

Przeciwstawieniem delikatnej, anielskiej, słabej Maryni jest — nowy w powieści polskiej typ — panna Anney.

Dzieje tej *miss* angielskiej są bardzo niezwykłe. Przed laty mieszkał w Rzęślewie chłop, Skiba, który miał córkę Hankę. Władysław był wówczas „paniczem“, przyjeżdżającym do domu tylko na wakacye. I oto pewnych wakacyj, gdy włóczył się z flintą po polach, zaskoczyła go burza. Schronił się do pustego młyna i tam poznał Hankę na pachnącem sianie... Młodość skorzystała z chwili. A potem — panicz wyjechał do miasta, a gdy wrócił po roku, dowiedział się, że rodzice Hanki wyemigrowali do Ameryki razem z córką. Panna Anney, która przybyła w dziesięć lat potem do Jastrzębia w towarzystwie pani Otockiej i Maryni — jest tą samą Hanką. Kultura amerykańska, zaszczepiona na polskiej, chłopskiej płonce — wydała zadziwiające owoce. Po śmierci rodziców, wychowana starannie i adoptowana przez

bogatych przemysłowców, miss Anney posiadła wszystkie zalety panny zamorskiej: wyćwiczone mięśnie, pewność siebie i hart duszy, niezwykły u dziewcząt polskich. A że jest piękna, więc garnie się ku niej Krzycki. Miłość silniejsza tu jest ponad sytuacyę, jaką wytwarza wyjawienie przez pannę Anney swojej tajemnicy. Małżeństwo jednak do skutku nie dochodzi, wskutek nietaktu, jaki popełnia narzeczony, nie umiejący trzymać zmysłów na wodzy.

Bardzo interesującym, obok panny Anney, typem kobiecym w „Wirach“, jest pokojówka, Polcia. Typ to również w powieści polskiej nowy. Polcia kocha się w Krzyckim, choć wie, że on nie dla niej. Miłość tę wyzyskuje dla swoich celów Laskowicz i wciąga dziewczynę do robót partyjnych, umiejętnie podniecając w jej duszy zawiść i nienawiść klasową.

Polcia wzbogaca galeryę typów Sienkiewiczowskich, postacią zajmującą, godną bliższej uwagi i nawskroś współczesną.

Pani Krzycka — matka — i pani Otocka, siostra Maryni, stoją już w powieści na dalszych planach, obie jednak mają plastykę niezwykłą.

Wśród mężczyzn, biorących udział w akcyi powieściowej ,wyróżnia się korzystnie działacz prowincyonalny, dr. Szremski, dobry lekarz i dobry obywatel. I on jest typem nowym. Nie można natomiast powiedzieć tego samego o Grońskim, którego łączą pewne reminiscencye z dawniejszemi typami Sienkiewicza. Za to Świdwicki, cynik i drwiciel, jest w rysunku świeży i doskonały, podobnie, jak epizodyczny Dołhański, łowca-posagowy i stary rejent, Dzwonkowski.

Najmniej szczęśliwie wypadła postać Laskowicza — socyalisty. Jest ona całkowicie dowolnym tworem wyobraźni autorskiej. Nie mniej ta przejaskrawiona postać młodego demagoga-samobójcy, niezbędna w powieści, skupia na sobie uwagę, a chociaż tu i owdzie możnaby poczynić jej zastrzeżenia, już nietylko co do linii psychologicznej „rewolucyonisty“, ale nawet co do znajomości doktryny socyalistycznej, w której imię walczy — to jednak są to drobiazgi, które mogą wywołać protest jedynie chyba w obozie, bliżej zainteresowanym figurą swojego „towarzysza“.

Dla nas ważniejszą od tego rzecz stanowi zasadnicza *tendencya* dzieła. Jest ona patryotyczna i obywatelska, szlachetna i czysta, a nadewszystko, krzepiąca wiarą, że jednak „przetrwamy wszystkie wiry“ i doczekamy chwili, kiedy „na szczytach rozumu, uczucia i woli, zrodzi się nowy wicher i piętrzy nowe fale.“

Z bieżącej chwili.

Jubileusz ks. biskupa krakowskiego.

Dnia 25-go z. m. obchodził jubileusz 25-lecia konsekracyi swej na księcia biskupa krakowskiego kardynał książ na Kozielsku Puzyna. Ze względu na chorobę Jubilata, uroczystość tę obchodzono tylko nabożeństwami w świątyniach dyecezyi krakowskiej.

Z okazyi jubileuszu odprawił w katedrze na Wawelu uroczyste nabożeństwo ks. biskup Nowak; kazanie wygłosił ks. dr. Masny.

Ks. kardynał Jan Puzyna, ur. 1842, biskup sufragan lwowski, zasiadł po



Ks. Kardynał Puzyna.

Albinie Dunajewskim na stolicy książąt biskupów krakowskich. Znakomity pasterz swej dyecezyi, gorliwy kapłan i gorący patryota, zajął się energicznie odrestaurowaniem katedry na Wawelu. W r. 1901-szym otrzymał kardynalstwo i brał jako kardynał udział w wyborze obecnego papieża Piusa X.

* * *

Nowa kandydatura poselska.

W miejsce ś. p. ks. prałata Jażdżewskiego odbędą się wprzyszłym miesiącu wybory na posła do sejmu pruskiego w okręgu krotoszyńsko- koźmińsko-jarocińsko-pleszewskim, wobec czego odbywały się w ostatnim czasie zebrania wyborcze w wzmiankowanym okręgu celem postawienia listy kandydatów, na których z wyjątkiem 3 obwodów, zdobytych przez p. profesora dra Karwowskiego, wszędzie przeszła na pierwszem miejscu jednomyślnie kandydatura ks. proboszcza Józefa Kurzawskiego z Pakości.

Ks. Kurzawski urodził się 18-go marca 1870 r. w Kotłowie w powiecie



Ks. proboszcz Józef Kurzawski.

Ostrzeszowskim w W. Ks. Poznańskiem. W gimnazyum był w Rogoźnie od kwarty do prymy, ukończył je w Ostrowie. Po przebyciu czteroletniego kursu w obydwóch seminaryach został wyświęcony na kapłana 23-go czerwca 1895 r. Przejściowo był wikaryuszem w Kościelcu na Kujawach i w Sypniewie w powiecie Wałeckim przeszło pół roku, gdzie tylko w niemieckim języku sprawował duszpasterstwo. W marcu 1896-go r. rozpoczął działalność w Inowrocławiu jako wikaryusz, od maja zaś równocześnie jako nauczyciel religii przy tamtejszem gimnazyum. Od lipca 1902 r. jest proboszczem w Pakości.

* * *

Właściciele winnic we Francyi

w departamencie Aube są bardzo niezadowoleni z ogłoszonego nowego prawa o uprawie winnic, ponieważ okolic, które zamieszkują, nie zaliczono w niem do obwodów, w których produkowane wina zaliczać wolno do „szampańskich“. Oburzeni tem bardzo właściciele winnic spowodowali poważne wybryki; między innemi w Bar-sur-Aube napadli na ratusz, wynieśli zeń różne papiery i karty podatkowe na plac przed ratuszem i spalili je publicznie. Także lalkę, która miała wyobrażać nowego prezesa ministrów Monisa, powieszono a następnie wrzucono w ogień.

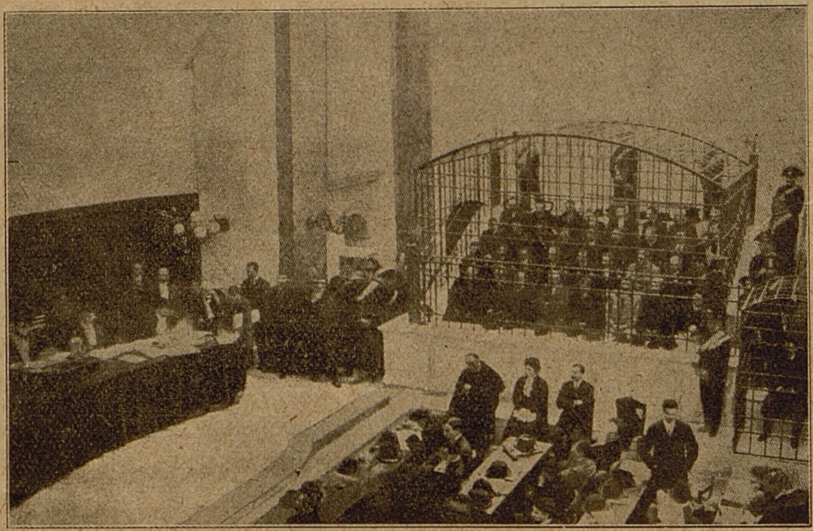
* * *

Wielki sensacyjny proces przeciw rabusiom włoskim t. zw. kamorzystom.

W Viterbo, małem ustronnem miasteczku Włoch, położonem w prowincyi rzymskiej, rozpoczął się przed kilku dniami przed sądem przysięgłych wielki proces przeciwko „wielkiemu Enrico,“ królowi kamorzystów neapolitańskich i 42 jego wspólnikom. Zawiła sprawa, datująca się od szeregu lat spleciona w węzeł najdziwaczniejszych wypadków i potwornych zbrodni, ma znaleźć ostatecznie rozjaśnienie, a winni ponieść zasłużoną karę. Przygotowania do procesu, który ma trwać pół roku, zajęły szereg miesięcy. Trudność stanowiło w pierwszym rzędzie zestawienie listy sędziów przysięgłych, którzyby zgodzili się przez pół roku zasiadać przy rozprawie. Prawie wszyscy wylosowani zgłaszali się ze świadectwami lekarskiemi. Na ławie oskarżonych zasiada herszt kamorzystów, Enrico Olfano, zwany Erricone, wraz z 42 wspólnikami. Trzech oskarżonych uciekło. Między uwięzionymi znajdują się dwie kobiety. Do rozprawy powołano ogółem 850 świadków; z tego 400 zawezwał oskarżyciel publiczny, zaś dalszych 450 zażądało 50 obrońców oskarżonych. Sala rozpraw przedstawia się do pewnego stopnia oryginalnie. Oskarżeni siedzą w olbrzymiej żelaznej klatce; z sali usunięto wszystkie kałamarze; protokóły spisywać można tylko sztucznemi piórami, napełnionemi atramentem. Rozporządzenie powyższe wywołała obawa ze strony prezydenta sądu przed ognistym temperamentem obrońców, w których ręku kałamarz mógłby się stać energiczną wobec przeciwników bronią. — Proces, na którym rozgrywa się szereg kryminalnych przestępstw, znany jest z wyników śledztwa. Sprawa przedstawia się jak następuje: Początek jej odnieść należy do 6-go czerwca 1906, w którym to dniu zamordowano w sposób skrytobójczy w Neapolu małżonków Cuocolo. Śledztwo wykazało, że oboje należeli do Camorry, w której odgrywali rolę „basistów,“ t. zn. członków bandy, mających obowiązek przez wywiad u wyznaczonych ofiar dać podstawę i ułatwić zamierzony napad rabunkowy. Śmierć ich była zemstą ze strony Camorry za zdradę kilku członków przed policyą. Dalsze śledztwo, na pewien czas umorzone wskutek niedość dobrej czynności ze strony policyi, podjęli karabinierzy (żandarmi). Dzięki poświęceniu się sprawie śmiertelnego wroga camorry, karabiniera Capodichino, który za wiedzą i pozwoleniem przełożonych przez rok pozostawał wśród kamorzystów, a nawet brał udział w niektórych napadach dla zdobycia sobie pełnego zaufania bandy, stwierdzono ostatecznie, że zabójstwa dokonali kamorzyści pod nadzorem herszta Erricone. Rozpoczęto pościg za mordercami. Erricone zbiegł do Nowego Jorku, gdzie przez pewien czas pozostawał wśród tamtejszych kamorzystów, zwanych „maffiusi.“ Tam został uwięziony przez włoskiego inspektora policyi, Perosina, który niedługo później, po przybyciu do Włoch, przypłacił aresztowanie „króla Henryka“ śmiercią; zamordowany bowiem został na otwartym placu w Palermo przez nieodkrytych sprawców. Po wydaniu Erricona władzom włoskim i przedwstępnych przygotowaniach procesowych spisano olbrzymie oskarżenie. Rozprawa wywołuje niezwykłe zainteresowanie nietylko we Włoszech, ale w całym świecie.



Wybryki właścicieli winnic we Francyi przed ratuszem w Bar-sur-Aube.



Sala rozpraw przeciw kamorzystom w Viterbo, oskarzeni siedzą w olbrzymiej żelaznej klatce.

Z TEATRU.

„Jak wam się podoba“ — komedya Szekspira.

Nie mogłem niestety być na benefisowem przedstawieniu pp. Sznagowej i Andruszewskiego, nie mogę przeto z autopsyi opisywać ani zapału publiczności oklaskującej swych ulubieńców, ani wieńców i upominków wyliczać, które jak z rogu obfitości posypały się na scenę. Sługębna fama jednak, która rozniosła wieść o wielkim moralnym i materyalnym sukcesie sobotniego benefisu, dotarła zapewne i do czytelników naszego pisma, przeto niechaj krótka ta wzmianka wystarczy.

Co do sztuki samej, — dawano, zgodnie z wykwintnym smakiem benefisantów, szekspirowską komedyę p. t.

„Jak wam się podoba“ — to zaznaczyć należy, że zaliczyć jej nie można do najlepszych i najsubtelniejszych utworów komedyowych wielkiego angielskiego dramatopisarza. Niestety niedomagania tłumaczenia wyeskamotowały dużo efektów oryginalnego dowcipu Szekspira, zginęło — jak nie mogło być inaczej — dużo z błyskotliwości ulubionej przez niego gry słów, lecz mimo wszystko całość prezentowała się bardzo ładnie. Szczególniej reżyseryi należy się uznanie za zmyślną i gustowną inscenizacyę i należyte przeprowadzenie sztuki. To mówię oczywiście na podstawie osobistego doświadczenia. Byłem bowiem na poniedziałkowem przedstawieniu.

Także role rozdane były szczęśliwie. Główna rola kobieca spoczywała u pani Sznagowej w wypróbowanych rękach. Odegrała ją artystka z wielkim wdziękiem i naturalną, utemperowaną kokieteryą. Partner jej p. Boroński był dziarskim i przepisowo rozmarzonym Orlandem. Nikogo też nie zdziwiło, że zdołał w zapasach pokonać pana Petryckiego, który w niczem do Herkulesa zawodowego podobnym nie był. Sądzimy, że p. Kosińskiego przestronne embonpoint lepiej byłoby licowało z rolą atlety niż takąż pasterza, którą odegrał zresztą bardzo ładnie. Dobrą kreacyę dał p. Andruszewski. Jego Jakób, melancholik, filozof, poeta, był typem znakomicie postawionym i odrzynał się czystością linij od niezawsze stylowego otoczenia. To samo należy powiedzieć o pięknej kreacyi p. Czerniaka, a także p. Bogusiński jako błazen dodatnim był w sztuce elementem. Znakomita w masce, a przeważnie i w grze była p. Sieniawska, która wrodzoną podobno każdej kobiecie próżność z takim heroizmem złożyła na ołtarzu sztuki. Pomniejsze role u pp. Kęckiego, Szatkowskiego, Borowskiego, Justiana i Bednarczyka w odpowiednich były rękach. Szczególnie ładne epizodowe kreacye dwóch ostatnio wymienionych panów zasługują na wyróżnienie. Benefis sobotni pamiętny będzie dla p. Czajkowskiej, która, o ile mnie pamięć nie myli, po raz pierwszy na naszej scenie w większej wystąpiła roli. Oczywiście, że gra jej niejedno pozostawiała do życzenia, lecz zdaje się, że młoda adeptka sztuki przedstawia materyał na użyteczną aktorkę. Jej Celia nie świadczyła wprawdzie o wybitnym talencie swej twórczyni, lecz nie raziła także banalnością szczególniejszą. Był to występ, żeby się tak wyrazić, przyzwoity, rokujący dobrze na przyszłość.

Na koniec nie bez żalu wspomnieć mi wypada, że na drugiem przedstawieniu szekspirowskiej komedyi przeraźliwe pustki były w teatrze. Cóż za szkoda, że Szekspir nie komponował operetek!

* * *

Benefis państwa Faliszewskich — jak było do przewidzenia — tłumy publiczności ściągnął do teatru. Główną atrakcyą były oczywiście choreograficzne produkcye benefisantów: nader ładny i oryginalny obrazek baletowy p. t. „Satyr i Bachantka“, który do muzyki A. Ponchielliego skomponował benefisant. Pani Faliszewska tym razem poszła w ślady bosych tancerek i niezrównaną gracyą czarowała widzów. Niemilknące, żywiołowe brawa, nieprzebrane mnóstwo kwiatów, wieńców i upominków posypały się na benefisantów, cieszących się w mieście naszem tak gorącą i powszechną, a co najważniejsza, zasłużoną ze wszech miar sympatyą.

Baletowe entrefilet poprzedzała nader wesoła komedya Fredry ojca „Jestem zabójcą“, w której panna Zielińska w roli Klary wdzięczne znalazła pole popisu i z zadania wywiązała się tak pięknie, że jej subtelnej tej i artystycznej kreacyi szczerze powinszować należy. Znakomitym Kokoszkiewiczem był p. Kosiński, który nas już niejedną dobrą postacią Fredrowską obdarzył. Także pp. Szatkowski, Boroński i Kawecki tudzież panna Czajkowska wedle sił przyczynili się do powodzenia udatnej całości.

Wieczór zakończono przedstawieniem Leoncavalla „Pajaców“, o których swego czasu już w piśmie naszem była mowa. W roli Neddy po raz pierwszy wystąpiła p. Szafrańska. Sympatyczna artystka trudne miała zadanie wobec tego, że partya ta dotychczas u nas zawsze bardzo dobrze była reprezentowana. Na ogół jednak wyszła artystka obronną ręką. Głos jej tremolował początkowo, lecz później płynął spokojniejszą falą. Zalecałoby się jednak więcej baczności poświęcać grze, unikać np. podpierania się pod boki, co w tragicznych sytuacyach nie podobna uważać za pozę właściwą. Także tryl wymaga jeszcze starannego ćwiczenia. Na specyalne uznanie zasługują chóry, a także sprężyste i umiejętne kierownictwo, które spoczywało w rękach p. Barańskiego. Chwilami tylko orkiestra mogła nieco dyskretniej załatwiać swą chwalebną czynność i brać wzgląd na niezbyt wielkie głosy niektórych naszych solistów.

Suma sumarum: przedstawienie benefisowe udało się we wszystkich częściach bardzo dobrze, o ile chodziło o specyalność państwa Faliszewskich wprost świetnie. Moralny i materyalny sukces był zupełny. *R.*

Z wystawa Artystów Warszawskich

w lokalu Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych.

„Przed obrazem należy stawać jak przed monarchą, czekając, czy i kiedy do nas przemówi. I jak do monarchy tak i do obrazu nie odzywać się samemu, bo wówczas mówiący usłyszy tylko głos swój własny“. Oto są słowa Schopenhauera. Rzeczywiście przemawia do nas czarem i świeżością wiosny obraz Włodzimierza Kuglera. Na obrazie dużych rozmiarów widzimy rozległe moczary, zarosłe kępami traw i kwiatów, gdzie niegdzie rozbłyskują wody, w oddali poza zalewem wodnym zielenią się drzewa. Po nad grzęzawiskami walczą ze sobą dwie sowy. Artysta odczuł i przeżył urok owego budzenia się wiosny, idącej do nas w przepychu kolorów świeżych, strojącej łąki w zieleń traw, fiolet firletek, złoto kaczeńców. Czujemy świeży wonny oddech wiosny, ów wschód wiosenny życia, widzimy rozkosz istnienia w kwiatach, w przyrodzie w dwóch unoszących się nad wodą i walczących ze sobą sowach o przyciężkich skrzydłach. Szczere i indywidualne pojęcie natury z artyzmem oddane.

Edwarda Okunia „Zwycięzca“ stoi z skrwawionym mieczem, otoczony rycerzami, na ziemi leży ścięta głowa, tuż obok szyszak z piórami, które zgniótł nogą zwycięzca. — Obok rycerza koń znużony pochyla łeb, a zwycięzca patrzy wzrokiem surowym, przenikającym. W twarzy wyrazistej widać siłę czynu, w zaciśniętych ustach niezłomność woli, w całej postaci mężne bohaterstwo. Tłem jest krwawa łuna, na której szarzeją włócznie. Ważyły się tu losy dwóch ludzi, lub dwóch narodów i jeden z nich poległ; dokonała się rzecz nieodwołalna. Postać rycerza, wyraz twarzy, koloryt obrazu, wszystko budzi nastrój grozy i czegoś nieubłaganego jak przeznaczenie. Okuń jest artystą wytrawnym, obrazy jego są przemyślane i doskonale skomponowane.

W drugim jego obrazie „Laus Vitae“ widzimy na pierwszym planie nagą postać kobiety, spoczywającą na zielonej draperyi. Głowa zwrócona do

nas profilem. Światło słoneczne przebija się przez zielone liście i pada jasnemi plamami na główkę kobiety i jej postać, a także na plecy innej kobiety odwróconej do nas i uderzającej w struny. W dali srebrzą się i śnieżą góry. Z obrazu spływa na nas radość życia, wytryska fala szczęścia. To szczęście, ta radość bije z pięknej postaci kobiecej, z cudownej przyrody, z słonecznego dnia. Słyszymy prawie hymn radosny, którym rozbrzmiewają struny lutni. Pod względem barwy, przestrzeni i rysunku obraz ten jest bardzo dobry.

„Rybak“ Czesława Kędzierskiego brodzi po kolana we wodzie, okolony sitowiem i zataczający świetlane kręgi. Różowy blask wschodzącego słońca pada na ramię i brzeg głowy ciemnej postaci, niosącej więcierz pod pachą i barwi różowym refleksem wodę. Harmonia barw pociąga nas w tym obrazie i budzi estetyczne zadowolenie i uznanie dla artysty.

„Opowieści fal“ Kazimierza Stabrowskiego malowane są w perłowym i opalowym tonie. Morze perłowe o zielonych cieniach szepce tajemniczą i odwieczną melodyę swych fal. Pod lekkiem tchnieniem wiatru drżą fale i kołyszą duszę cichem i słodkiem marzeniem. Na tle morza stoi rusałka, czy księżniczka, czy też pani morza w strojnej sukni o opalowej barwie. Na szyi połyskują rzędy pereł, w ciemnych włosach perły i w ręku trzyma kosztowności. Spogląda na nas oczyma pięknemi o migotliwym zielonym blasku. Oczy te pociągają urokiem tajemniczym jak morze, są niezgłębione jak morze. Cała postać jasna i czysta działa kojąco i rzeźwiąco jak morze. Obraz ten jest poematem barw:

„Fale pieszczą...
„Fale kołyszą...
„Wzrok rozdreszczą!
„Dreszcz uciszą
„Gdy zaszeleszczą...
„Kiedy zadyszą...
„Fala po fali płynie
„Fale płyną podemną
„Wszystka na fali płynę. —
„Pod powieką myśl ginie,
„W głąb się grążę tajemne,
„W świetlną biegnę wyżynę,
„Fala tuli się, kona...
„Jak gasnące iskrzyce,
„Jak mdlejące różyce...
„Fala tuli się... kona,
„Niebo spływa w ramiona!

Wyczółkowski dał nam w mistrzowskim rysunku fragment z mrocznej kaplicy. Oto podobizna posągu Ukrzyżowanego, pokryta patyną wieków. Blade światło prześwieca przez ornamenta, rzuca cienie na Chrystusa, tonącego w mroku. Wprost niesłychane jest bogactwo wyrazu, siła represyi, którą artysta wydobył z swego przedmiotu. Jeden z wybitnych krytyków odzywa się o Wyczółkowskim: „Jest on fanatykiem prawdy jak Gierymski, z tą różnicą, że Gierymski czuł najbardziej formę, Wyczółkowski żyje barwą, a w formie widzi jedynie przedmiot experymentów światła. Oddaje wrażenie jej lekko swobodnie z całym rozmachem temperamentu malarskiego. Każde uderzenie pędzla na jego obrazach jest z odczucia, nie z recepty.“

Oto Jarockiego: Święta Żmudź. Na płaskiem wzgórzu rozciągają się zbożne niwy, złocą się łany żyta, zielenią jarzyny, a na stoku wzgórza wznoszą się krzyże. Duch wielkiej, milczącej przestrzeni wieje z tych pól, ogarnia nas melancholia i zaduma rzeczy, które niepowrotnie minęły.

Portret Andrychiewicza przedstawia nam młodą damę w różowej sukni na tle pejsażu. Obok damy stoi piesek. Mimo różowego koloru sukni, różowych refleksów na wierzchołkach drzew i na niebie, obraz ten nie jest wycedzony, ani słodki, lecz przeciwnie uderza nas niezwykłą szlachetnością i wykwintnością tonu. Postać młodej damy, barwa jej sukni, tło krajobrazu, wszystko zlewa się w harmonijną całość, ciesząc wprost oko nasze artystycznem wykonaniem, przypominającem stare angielskie portrety.

Oto tylko garść wrażeń z wystawy, zawierającej poza tem wiele cennych i ciekawych dzieł, o których przy sposobności będzie jeszcze mowa.

Z. Kłossowska.

KRONIKA.

— **Wyrzućmy z domów naszych polskich wszelkie szkodzące nam blaty niemieckie. Niech każdy dba o to, by w domu polskim znajdowała się tylko gazeta polska, bo tylko polska gazeta jest prawdziwą przyjaciółką domu polskiego.**

— **Wybory ławników do sądów kupieckich odbędą się w czwartek dnia 6-go kwietnia r. b. pomiędzy 4-tą a pół do 10-tą po południu.**

Lit. A do H. głosuje w auli szkoły obywatelskiej, ul. Rycerska 30.

Lit. I do O. głosuje w auli szkoły miejskiej dla chłopców, św. Marcin 35.

Lit. P do Z. głosuje w sali konferencyjnej szkoły miejskiej przy ul. Wszystkich Świętych nr. 1.

Pryncypałowie pozwolenia na udział w wyborach odmówić nie mogą.

Komitet wyborczy pomocników handlowych.

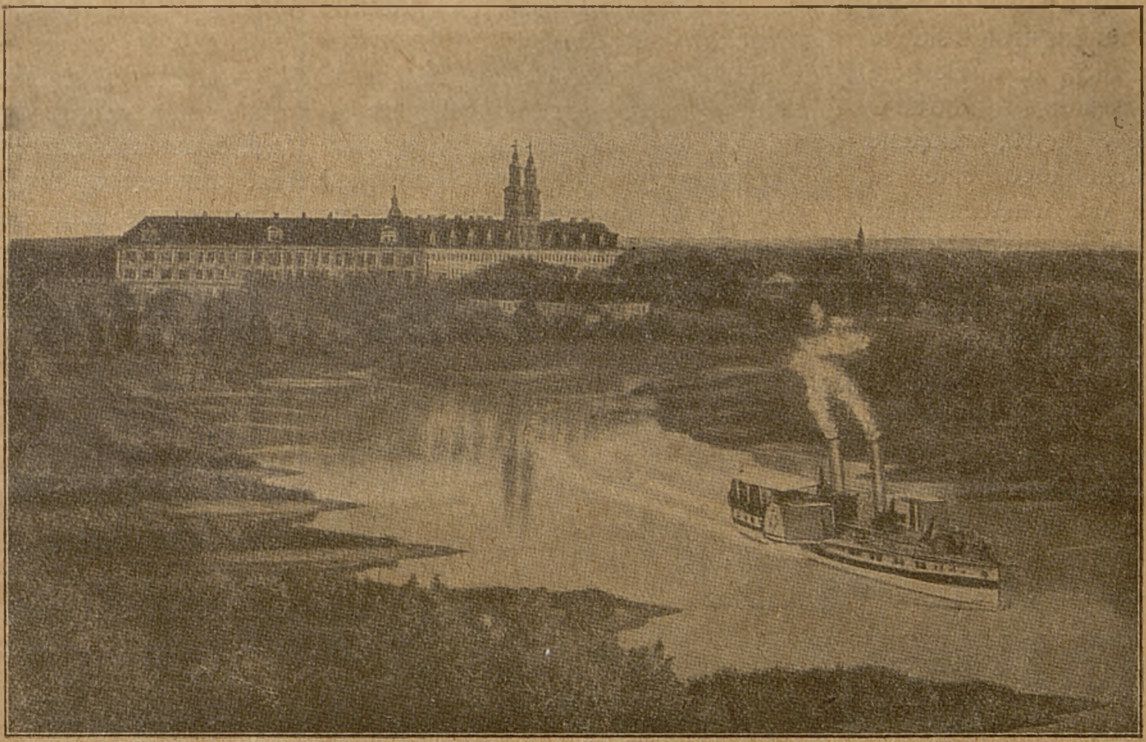
— **Sprostowanie.** W artykuliku „Nasze ryciny,“ zamieszczonym w nr. 12-tym „Pracy“ na stronie 307-mej, a objaśniającym zbiorowy obraz albumowy Zarządu i członków Centralnego Towarzystwa Gospodarczego w W. Ks. Poznańskiem, wymieniliśmy podług udzielonej nam mylnie informacyi pomiędzy siedzącemi osobami w pierwszym rzędzie od dołu p. Franciszka Mlickiego z Obudna zamiast z **Ostrówka**, co niniejszem prostujemy.

— **Do dzisiejszego numeru** dołączamy prospekt p. B. Śniegockiego, właściciela „Drogeryi Uniwersum“, który w roku zeszłym założył w swej kamienicy przy ulicy Rycerskiej 33 (narożnik św. Marcina) wielki magazyn sprzętów kuchennych, ogrodowych, szkła i porcelany pod firmą „Hestia.“

Nekrologia.

† **Ś. p. Adolf Kasprowicz,** kupiec, właściciel firmy W. A. Kasprowicz, dnia 22-go z. m. w Poznaniu, w 50-tym roku życia. — **Ś. p. z Adamkiewiczów Wiktorya Andrzejewska,** dnia 21-go z. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Stanisław Feist,** nauczyciel emeryt., dnia 22-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 72. — **Ś. p. Antonina Nejczyk,** matka ks. proboszcza Tomasza Nejczyka ze Swarzędza, dnia 22-go z. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Paulina z Wieckich Prabucka,** matka ks. Prabuckiego z Boleminka w Prusach Zachodnich, dnia 23-go z. m. w Boleminku w 76-tym roku życia. — **Ś. p. Kanstancya Zabrzewska,** siostra ks. kanonika Dombka, dnia 26-go z. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Franciszek Józef Glum,** dnia 25-go z. m. w Poznaniu w 72-gim roku życia. — **Ś. p. Kazimierz Kozłowski,** dnia 25-go z. m. w Kobelnikach w 16-tym roku życia. Pogrzeb odbył się dnia 29-go z. m. w Tucznie. — **Ś. p. z Ledwochowskich Agnieszka Neumannowa,** dnia 25-go z. m. w Świeciu w Prusach Zach., przeżywszy lat 65. — **Ś. p. z Wilamowskich Józefa Golomska,** dnia 25-go z. m. w Inowrocławiu, w 46-tym roku życia. — **Ś. p. Józef Oprzyński,** dnia 26-go z. m. w Worytach na Warmii w 19-tym roku życia. Pogrzeb odbył się dnia 29-go z. m. w Gietrzwałdzie. — R. i. p.

Reklamy.



Ogólny widok klasztoru z góry Winnej.

Nasze pamiątki.

Klasztor Lubiesz (Leubus).

Między klasztorami Śląska, zniesionemi w r. 1810, obok Trzebnicy ma niezawodnie najobfitszą historyę, dawne opactwo cysterskie, Lubiesz. Gdyby jaki zapalony badacz dziejów chciał zbadać i opracować oryginalne dokumenty, w liczbie około 2000, jako też różne akta i księgi, zachowane w państwowem archiwum we Wrocławiu, miałby pracy na kilka dziesiątek lat. A nietylko liczba aktów stwarza trudności, lecz także i ta okoliczność, że wiele aktów jest pofałszowanych i naśladowanych, a te mętne źródła wprowadzały nieraz w błąd samych nawet uczonych, biegłych w tej dziedzinie. Mimo to, przeszłość i sława klasztoru lubieskiego zachęcała licznych pracowników do studyów historycznych, które dotąd nie zostały jeszcze wyczerpane.

To jest pewnem, że Cystersi w Lubieszy przeważnie przyczynili się do osiedlenia i kultury Śląska. Jaki był stan kraju, nim 16-go sierpnia 1163 przyszli do niego zakonnicy, opisuje łacińska kronika w ten sposób: „Cały kraj pokryty był lasami, nie miał go kto uprawiać. Lud polski — bo pierwotnie była tu cała okolica polska i dopiero potem przez kulturę (!) została wynarodowiona — był ubogi i leniwy. Piaszczystą ziemię orał zakrzywionemi drągami, a ciągły je krowy lub woły. Nie było miasta, ani miasteczka, tylko przy zamkach otwarte targowice, role i kaplica. Nie było kruszcu, soli, pieniędzy. Lud chadzał boso, pasł bydło. Taki stan zastali pierwsi mnisi.“

A w 100 lat później, za panowania księcia Henryka I. i jego następców spotykamy od Jaworu do Ścinawy lasy przerzedzone, tylko nad Odrą otaczały klasztor lasy dębowe, pilnie hodowane; istnieją jeszcze dzisiaj. Gdzie dawniej były rozległe, puste pastwiska, wznosiły się wsie, miasta i zamki. Obok polskich chat powstawały miasta niemieckie i pierścieniem ściskały krajowców, lecz i między nich wciskali się coraz więcej niemieccy osiedleńcy, z tym skutkiem, że zupełnie polski charakter tego kraju zagubili. Wydaje się rzeczą nie do uwierzenia, że za jednego opata Günthera II. (1204—1239) od Bobry po Nissę, skolonizowano, t. z. zamieniono 65 (!) wsi polskich na niemieckie. *)

Oczywiście nie należy zapominać, że niezbędną do tego pomoc dawali książęta, osobliwie Henryk I. Brodaty, i jego żona św. Jadwiga, starali się zapewnić pokój, dobrobyt i oświatę na Śląsku, który dotychczas był widownią bratobójczych walk książąt polskich.

Jakiem poparciem ze strony Henryka Brodatego i św. Jadwigi cieszył się klasztor Lubiesz, widać z przeróżnych bogatych zapisów na rzecz klasztoru, jako też z tego, że opat Lubieszy należał obok biskupa wrocławskiego i księcia śląskiego do osobistości, najwięcej wpływowych na Śląsku.

Wpływ Lubieszy sięgał do Poznania, Mogiły i Krakowa. Na Śląsku dolnym wytworzył Henryk I. przy pomocy Cystersów z Lubieszy pierwszy niemiecki okręg od Jaworu do Gór Miedzianych; drugi — stanowiła Lubiesz; trzeci Świdnica. Górny Śląsk jednak nie zupełnie udało się wynarodowić.

O tych zasługach zakonników Lubieszy wyraża się Wattenberg w dziele „Monumenta Lubensia:“ ...„Zakonnicy tyle uczynili dla kultury naszej (niemieckiej), iż się nam stali zbyteczni (!).“

Opisaniem klasztoru i kościoła nie wiele zajmować się będziemy. Ktokolwiek będzie czy we Wrocławiu, czy w pobliżu Lubieszy, niech nie zaniedba zobaczyć klasztoru. Zobaczywszy go, łatwiej go opisze, — gdy tymczasem najdokładniejszy opis nie daje naocznego wyobrażenia. Najprzód dojeżdża się koleją z Wrocławia do Malczu. Tu promem przeprawiamy się przez Odrę i lasem dębowym wzdłuż Odry dobrą godzinę zdążamy pieszo, aż w końcu lasu wychylają się wieżyce kościoła i cały klasztor. Na widnokręgu szarzeją Sudety.

Sam klasztor należy do najpiękniejszych i największych okazów budownictwa. Front ma długości 225 m. Do frontu przytykają pod kątem prostym skrzydła. W środku frontu jest kościół z dwiema wieżycami stylu barokowego. Budowa niezupełnie jest wykończona. Właśnie zamierzał opat uzupełnić budowę, gdy wtem Fryderyk II. zabrał Śląsk Austryi, a na klasztor taki nałożył haracz, że aż do zniesienia klasztoru (r. 1810) nie można już było myśleć o wykonaniu owego planu.

Rozmiary klasztoru najlepiej po-

*) Porównaj „Kloster Leubus“ von Wels, Breslau 1909, str. 4 i nast.

znać z porównania. Otóż wysokość gmachu klasztorowego w Lubieszy jest taka sama jak zamku królewskiego w Berlinie, z tą różnicą, że w Berlinie na tę wysokość przypadają 4 piętra, w Lubieszy zaś tylko 3 piętra, wszędzie sklepione. Skutkiem tego sale są znacznie wyższe. We wnętrzu muru parterowego można zmieścić łóżko, stół i dwa krzesła.

Kościół jest bazyliką o trzech nawach, we formie krzyża; pod koniec wieku XVII. nadano mu styl barokowy; nawy boczne biegną naokoło chóru konwentowego, czyli presbiteryum, stosunkowo obszernego, jak wogóle w kościołach zakonnych, podczas gdy połowa dla ludu — stosunkowo mniejsza. Stale są rzeźbione w białym kolorze, w stylu barokowym. Brama przed presbiteryum żelazna, snycerskiej roboty. Chór śpiewaków ozdobiony kapelą aniołów.

Liczne i sute obrazy pochodzą z pod pędzla Michała Willmanna, zwanego śląskim Rubensem (1650—1706). Mieszkał w Lubieszy, ciało jego zabalsamowane, spoczywa w grobowcach konwentu. Do okazalszych sal klasztoru należy sala książęca, refektarz i biblioteka.

Na placu klasztornym jest statua Maryi z piaskowca, otoczona czterema statuami: Mojżesza, Arona, Anny i Elżbiety, — wszystkie dobrze zachowane; pochodzą z czasu opata Arnolda Freibergera (1670), ocienione kasztanami.

W r. 1830 zamieniono klasztor na szpital dla obłąkanych. Przyległy kościołek oddano protestantom, kościół zaś klasztorny, znacznie ograbiony, jest po dziś dzień dla użytku Zakładu szpitalnego i wiernych, tak miejscowych, jako też z dala licznie napływających pielgrzymów.

Dziwne potrawy.

Dziś, gdy bez względu na czas i przestrzeń możemy sprowadzać sobie z całego świata najrozmaitsze przysmaki, dziś prawie pojąć nie potrafimy, że niegdyś zadawalniali się ludzie tylko tem, co im ich własna dawała ojczyzna. Że w niektórych okolicach nie wiele było artykułów spożywczych, to jasne, — mianowicie mieszkańcy gór w krajach zimnych nie mogli być wybrednymi! Dążność pomnożenia przedmiotów jadalnych wytworzyły dwa czynniki: bieda i zbytek.

Nie ma pewnie w całej przyrodzie ani zwierzęcia ani rośliny, któreby człowiekowi w jakiejkolwiek bądź formie albo w jakimkolwiekbądź czasie nie służyły za pokarm, na polu zaś gastronomii, to jest od czasu, gdy wszelkie przyprawy stały się delikatniejsze i więcej wyrafinowane, nie ma zapewne materyi surowej, którąby prawdziwy smakosz pogardził.

Zajrzyjmy naszym kochanym bliźnim w garnki. Im mniej kultury, tem mniej wybredne potrawy. W Środkowej Afryce ucłodzi gnijące mięso, pokryte robakami, za największy przysmak, Murzyni zaś i Arabowie północno- afrykańscy zagniatają szarańcze i pewien rodzaj much na chleb. W Południowej Ameryce zjadają krajowcy pieczone termity, na Samoa jest jakiś robak morski „palolo,“ najwyborowszą potrawą! W Patagonii i na wybrzeżach Morza Czerwonego zakopują ludzie ryby w ziemię i jedzą je wtedy dopiero, gdy zaczynają gnić! W Ameryce, Afryce i Południowej Azyi są żmije ulubionym przysmakiem, tak samo papugi w Australii i jaszczurki w Meksyku. Małpy, krokodyle i aligatory bardzo podobno smaczne mają mięso. W Chinach jedzą bogatsi nawet ludzie psy, koty, szczury i myszy, z drugiej zaś strony mają i wykwintne potrawy — skrzele hai, trepangi, jaja, przechowane w wapnie, gniazda salangany, cebule lilji i pewien rodzaj białego, tłustego robaka, gnieżdżącego się w łodygach bambusowych. Są to potrawy, które nawet Europejczykom smakują. Japończycy zadawalniają się byle czem — jedna tylko potrawa wzbudza w każdym wstręt i odrazę: jest to ryba, żywa, z jednej strony lekko tylko przypieczona, która się jeszcze musi poruszać, gdy ją rozkrawają. Tak samo zresztą podawano w Europie gęś — przed 1500 laty!

Grenlandczycy jedzą najchętniej surowe i zamrożone ryby, Jakuci spożywają na deser zamrożone wnętrze żołądka renów — tak samo i zamrożona krew rena jest największym ich delikatesem. Najtrudniej jednak pojąć mieszkańców Loango, którzy z taką namiętnością zjadają hiszpański pieprz, że skóra im schodzi z języka i podniebienia.

Człowiek zjada wszystko, co mu w ręce wpadnie. Astor, miliarder nowoyorski, wyprawił niedawno afrykański obiad, na którym podał swym gościom mięso z lwa, nosorożca, hippopotama, aligatora, słonia i zebry. Cesarzowa Józefina wydała raz ucztę starorzymską i kazała w tym celu pozabijać połowę zwierząt i ptaków zwierzyńca paryskiego. Dr. Hermes, dyrektor berlińskiego akwarium, podał gościom na śniadanie jajecznicę z jaj żmij! Stanley delektował się mięsem jaguara, słonia i żmii, twierdząc, że wszystko to o wiele delikatniejsze, niż nasza cielęcina. Lindley wychwala nogi słonia, dr. Speck mięso małpie, Howson mówi, że nad pieczeń z hyeny nie ma nic lepszego! Paryski zaś dziennikarz Lenoir oświadcza, że przyzwyczaił się w r. 1870 tak do potrawki z szczurów, że już się teraz bez niej obejść nie może.

De gustibus non est disputandum! Są gusta rozmaite i nie możemy się wcale uważać za lepszych od naszych czarnych i nieucywilizowanych braci! Ogony kaenguruh, ozory renów i szynki niedźwiedzie są i u nas znanemi przysmakami, a za gniazdka indyjsko-chińskich jaskółek bajeczne płacą niektórzy sumy. Ostrygi jemy także surowe! Kawiar nie jest niczem innem, jak solonem ikrem jesiotra, sery zaś mlekiem, przechodzącem też już w rozkład. Żaby uważają niektórzy za największy przysmak — mięso żółwia tak samo! Albo czy flaki są estetyczną potrawą? W niektórych domach musi mieć zwierzyna taki haût gout, że z daleka uciekać by można — czy i tu nie przechodzi mięso w zgniliznę?

W wielkich miastach i wykwintnych restauracyach podawają teraz sałatę z surowego sandacza, przyprawioną octem i oliwą, lub z surowo peklowanego łososia. Banany, pomarańcze i brzoskwinie pomieszane razem, polewają sosem majonezowym, le dernier cri zaś jest: skibki chleba, posmarowane gęsim smalcem i posypane świeżemi fiołkami! (Kopenhaga). W Paryżu jedzą surowe szparagi tak jak selery, w Hamburgu zaś roastbeef z matyasem.

Co by na to powiedzieli mieszkańcy Afryki, Patagonii i t. d. Litowaliby się nad nami tak, jak my nad nimi.

„Niech każdy tyje od tego, co mu smakuje“ mówi szwedzkie przysłowie!

M. P.

Wiem, że coś idzie i że coś się stanie,
Choć się to słońce, jak co dnia zapala,
Że jakieś wielkie czasy idą zdala
I że nie próżno duchem czekam na nie!

Maryla Wolska.

* * *

Nie każdy będzie w niebie, kto woła:
o! Panie!
Ale z tych pewno żaden, kto wołać
przestanie.

Hieronim Feldmanowski.

* * *

Dział kobiecy.

Kluby kobiece w Anglii i Ameryce.

Podobnie, jak w życiu mężczyzn angielskich, klub stanowi niejako dopełnienie domu, gdzie codziennie spędza się dłuższą lub krótszą chwilę, gdzie przyjmuje się nawet oficyalnie odwiedziny przejezdnych i znajomych — tak i w życiu kobiet angielskich klub oddawna już jest miejscem codziennych zebrań kobiecych, a prawie każda Angielka jest członkiem jakiegoś klubu. Stąd już wynika, że istnieje ich bardzo wiele; sam Londyn posiada przeszło 30 klubów, a w każdym z nich panuje ożywienie znaczne. Wszelkie inne wielkie miasta zjednoczonego królestwa brytańskiego: Liverpool, Manchester, Glasgow, Edynburg itd., mają również liczne „Ladies clubs". Gdy zaczęły one powstawać, mniej więcej przed 15 laty, musiały zrazu wywalczać sobie uznanie wobec sceptycyzmu lub nawet niechęci, z jaką odnosiła się do nich opinia publiczna. Dzisiaj są już najzupełniej uznane, stanowią jeden z ważnych czynników życia społeczno-towarzyskiego i nikomu nie przychodzi na myśl wyszydzać je lub ganić. Ogromna jest rozmaitość tych klubów; każdy gromadzi inne warstwy społeczne, służy innym upodobaniom. Są więc kluby czysto towarzyskie, czysto naukowe, sportowe, zawodowe, najczęściej zaś o mieszanym charakterze.

Przodują londyńskim klubom kobiecym Alexandra-club, Greenpark-club i Empress-club. W pierwszych dwóch balotowanie członków jest niezmiernie surowe; należą tam przeważnie tylko osoby, bywające u dworu, a uczestniczki rekrutują się również z pośród członków rodziny panującej. Klub trzeci, Empressclub, jest niemal najpopularniejszym w Londynie, a niewątpliwie najbogatszym, ma on przeszło 2,400 członków, mimo że i tu kontrola przy przyjmowaniu nowych członków jest bardzo surowa. Inne obywatelki londyńskie obierają sobie zazwyczaj kluby wedle zawodów. I tak, adwokatki i lekarki należą do klubu uniwersyteckiego, córki i siostry wojskowych do Army lub Navyclub, literatki do klubu pisarek, albo też do klubu Liceum, liczącego przeszło 2000 członków z całej Wielkiej Brytanii. Spotyka się tam Australijki, Kanadyjki, kobiety z Nowej Zelandyi, a nawet Induski w ich malowniczych strojach. Klub ten jest niejako domem gościnnym, który licznie zamieszkują kobiety przejezdne, otrzymujące od kogoś z członków list polecający. Podobny też zwyczaj zaprowadzono obecnie i w paryskim klubie Lyceum.



Rusałki.
W podaniach i pieśniach ludu ukraińskiego jest baśń o pięknych marach-kobietach, które jakoby zjawiały się o zmroku ponad wodami jezior, wyprawiały pląsy i wabiły młodzieńców. Zowią się one rusałkami.

Wszystkie lokale klubowe, czy to arystokratyczne, czy mieszczańskie odznaczają się zawsze wykwintną prostotą w urządzeniu. Lokal składa się z kilku salonów, czytelni, biblioteki, salonów jadalnych i niekiedy pokoi gościnnych. Administracyą zajmuje się specyalna komisya gospodarcza, która niekiedy ma trudne do spełnienia zadanie, zwłaszcza z doborem służby. Jakich ostrożności przed ciekawością niepowołanych potrzeba, dowodzi następujący przykład: Panie, jadające obiad w jednym z klubów londyńskich, zauważyły, że jeden z obsługujących kelnerów od czasu do czasu notuje coś w kieszonkowym bloku. Zrazu sądzono, że zapisuje on dla pamięci potrawy, jakie ma podać itp., niedługo później okazało się, iż rzekomy kelner był dziennikarzem, który w przebraniu wkradł się do klubu, aby wybadać, a następnie opisać jego działalność i panujące w nim zwyczaje. W ostatnich cza-

sach z powodu rozszerzającego się zwyczaju palenia urządzono we wszystkich prawie klubach także salony do palenia, gdzie członkowie spędzają wiele czasu.

W Ameryce kluby kobiece zaczęły rozwijać się od niezbyt dawna. Ale jak wszystko w Ameryce i one rozkwitły bardzo szybko, tak, że dzisiaj Stany Zjednoczone przewyższają już Anglię liczbą klubów. W samym Nowym Jorku istnieje ich dzisiaj przeszło 60, najsłynniejszy z nich „Soresis“ mieści się obok znanej restauracyi Delmonico i gromadzi stale elitę kobiecego świata nowojorskiego. W San-Francisco jest około 30 klubów kobiecych; na całej przestrzeni Stanów Zjednoczonych przeszło tysiąc. Kluby te pozostają zazwyczaj w stałym związku z sobą, tak, że członek jednego ma prawo wstępu i do innych, o ile się znajdzie w innem mieście.

ORACZ.

Hej, wiosenka z Boskiej woli!
Z nieba słonko się uśmiecha;
Śniegi zeszły z miękkiej roli,
Będzie praca i pociecha.
Skąpo żyta już w stodole,
Dalej wołki! dalej w pole!

Pługi skrzypią, kracze wrona,
A skowronek hen! pogania;
Hej! z zagona do zagona,
Zorzę dużo do śniadania.
Skiba pada w lewo, w prawo,
Dalej wołki! dalej żwawo!

Co za rodość dla oracza!
Choć o kamień lemiesz dzwoni,
Pług niczemu nie przebacza:
Tam, gdzie rosła paproć łoni,
Teraz będzie plon bogaty.
Hej! od siebie, ho! srokaty.

Doorane czarne staje
Święty Wojciech zazieleni,
Będą zboża, gdyby gaje,
Święty Jakób je wypleni;
Na Mateusz chleb gotowy,
Razem wołki! K'sob' k'sob, płowy!

Orzcie — orzcie świętą rolę,
Dostaniecie świeżą paszę.
Miło poczuć pot na czole,
Bo to nasze — bo to nasze!
Bo to wiosną, czy w jesieni,
Człek na swojem się nie leni.

Hej! czy wiosną, czy jesienią,
Leniuch patrzy na gotowe;
A mnie wołki się nie lenią,
Nowa praca — plony nowe!
I dla chatki, dla stodołki,
Starczy, starczy — dalej wołki!

Orzcie —orzcie świętą rolę,
Dostaniecie świeżą paszę;
Miło poczuć pot na czole:
Bo to nasze — bo to nasze!
Bo na własnem człek bogaty,
Dalej płowy! ho, srokaty!

O. D.

Stefania Tucholkowa.

KUJAWIAK.

Nie wiem, jak mu było na imię i jak się nazywał, lecz, że to był chłop zrodzony na Kujawach, więc nazywać go będę „Kujawiakiem“.

Był czas, że nasz Kujawiak mieszkał w Inowrocławiu na komornem i tylko na dniówki do roboty w polu do wsi okolicznych chodził; ostatnie jednak dwa lata przed r. 1863 służył u pp. Dąmbskich w Konarach.

Gdy w Królestwie wybuchło powstanie, a młodziuchny wówczas syn dziedziców Franciszek Dąmbski, przeszedłszy szczęśliwie granicę, dzielnie bił Moskali, — postanowił i nasz Kujawiak iść za przykładem panicza na wojaczkę.

Po różnych przygodach, (o których tu się nie mogę rozpisywać, bo ramy niniejszego opowiadania na to nie pozwalają), dostał się nareszcie nasz Kujawiak do tego samego oddziału, w którym był jego panicz. — Był to oddział pułkownika Raczkowskiego, który wprost z Brazylii, gdzie miał plantacye kawy, na wieść o wybuchu powstania do kraju wrócił i stanął na czele jednego z formujących się świeżo oddziałów.

Dni parę upłynęło naszemu Kujawiakowi spokojnie, bo pułkownik chciał najpierw świeżo zaciągniętych szeregowców trochę wyćwiczyć i oddział zorganizować. Lecz pewnej nocy wyruszono nagle w pochód i po uciążliwym, wielogodzinnym marszu przybyto nareszcie do lasu położonego za Ruszkową Wolą pp. Morzyckich.

Wielką była radość szeregowców, gdy w lesie znaleźli gotowe z chrustu i gałęzi szałasy, snać pozostawione przez jakiś poprzednio tu przechodzący oddział.

Zmęczeni, zziajani szeregowcy piesi pokładli się w cieniu na ziemię, pozrzucawszy wierzchnie ubrania, bo upał był nieznośny (było to mniej więcej w połowie czerwca) i przezuwszy buty z bolących od uciążliwego pochodu nóg. — Kawalerya zaś ruszyła nieco dalej, na lewo, by w znajdującem się tam jeziorze konie napoić; reszta zaś ustawiła się na piketach.

Nasz „Kujawiak“ służył piechotką w trzeciej kompanii, (którą prowadził Jan Lignian) pozostał więc przy szałasach, przy których poskładano broń w kozły i wraz z innymi do snu się na ziemi ułożył.

Naraz, jak grom z pogodnego nieba huknęła skądeś salwa karabinowa, a kilka kulek, jak osy naprzykrzone brzęknęły tuż nad uchem usypiającego właśnie Kujawiaka. Przerażony porwał się na równe nogi, lecz już i z wszystkich szałasów nawpół ubrani, bez butów, bez czapek wypadali szeregowcy, za broń chwytając.

„Do broni“, „do broni“, rozlegało się po całym obozie.

Nieprzyjaciela jednakowoż nigdzie naokół widać nie było, choć znów z boku i z tyłu rozległa się szarża wystrzałów. — Wreszcie zmiarkowano, że wróg przyczajony z tyłu w gęstwinie za szałasami.

Nasz Kujawiak z własnej woli i chęci poszedł na wojaczkę, lecz, że to dotąd nie był ni razu w potrzebie wojennej, ni prochu nie powąchał, więc „matyjaśnie“ jakoś zrobiło mu się „na wątpiu“, a zęby szczękały mu jak we febrze.

„Dyć nie szczękaj tak zębiskami“, rzekł stojący obok niego, wytrawny już we wojaczce szeregowiec. „Jak zginiesz, to ci już wilcy zębiskami przygrywać będą pogrzebową melodyą i pochów galanty wnet ci za darmo sprawią“, mówił, nabijając spokojnie fuzyą.

A tu znowu nakształt lotnych gończy przeleciały koło nich ze świstem kule.

„Świegocą te kulki kiejby ptaszki jakie“, rzekł towarzysz Kujawiaka. „Jak mnie który z tych ołowianych ptaszków trafi, to już ci tam na wszelki wypadek obstaluję kwaterę na drugim świecie“, mówił dalej z fantazyą Kujawiaka.

Lecz w tej chwili właśnie, gdy słów tych domawiał, kula w pierś trafiła. — Przechylił się na bok i padł na ręce Kujawiaka, który go na ziemi złożył i pochylił się nad nim z trwogą.

„Nic to“, mówił ranny, „nic, jeno trza mi stanąć u Chrystusa na ordynansie“. — I już go chwyciły kurcze śmiertelne.

Słowa rannego kolegi i jego widok nie mogły przyczynić się do podniesie-



W popłochu.
Wielkie niebezpieczeństwo zdaje się grozić wypłoszonemu z lasu wraz z swą towarzyszką jeleniowi. Chwilę tę obrazuje nam znakomicie powyższa piękna rycina.

nia ducha w naszym bohaterze; to też duch jego ze strachu był w tej chwili, (jak to mówią), na ramieniu, a byłby chętnie i dalej stąd powędrował, gdyby to tylko było możliwem.

„Naprzód wiara", — rozległa się komenda.

Zimno mimo straszliwego upału zrobiło się naszemu Kujawiakowi.

Ruszyli wszyscy, a z nimi rad nierad i nasz Kujawiak, trzymając w jednej ręce kosę, w drugiej zaś but, którego nie zdążył obuć.

Wypadli na pole i naraz Kujawiak ujrzał przed sobą zwarte szeregi wrogów i błyszczące w słońcu, wzniesione do strzału lufy ich karabinów. — Mróz raz jeszcze przeszedł mu po kościach.

Bezwiednie prawie pochwycił manierkę z wódką, którą miał w przewieszonym przez plecy mantelzaku i niezgorzej przechylił. Zabulgotało mu w gardle, łyknął raz jeszcze i przekonał się, że tym razem duch jego z ramienia dostał się jakoś na dno flaszki, zkąd znów powoli do serca mu zstępować zaczął.

Padły wystrzały.

Kujawiak posłyszał obok siebie, poza sobą i przed sobą przeraźliwe jęki, rozdzierające falę powietrzną. I strasznomu się znów zrobiło.

Ponownie padły strzały, z których jeden tuż przy uchu mu przeleciał i zranił mu policzek.

Rana była lekką, lecz strzał tak go ogłuszył, że nasz Kujawiak padł jak długi na ziemię.

„O! loboga, zabili me", zawołał, padając i zamknął oczy. „Ha, cóż robić, zabili me ścierwa-juchy", myślał sobie, „ano, stało się. Przynajmniej na tem człek zyska, że już na ten przykład komornego w mieście płacić nie będzie potrzebował."

Lecz naraz uczuł, że ktoś go ciągnie i usiłuje podnieść ze ziemi. — Był to lekarz oddziałowy, który spostrzegłszy padającego na ziemię Kujawiaka, chciał go podnieść i wyprowadzić, lub wynieść z szeregu walczących, by go nie stratowano.

Ale nasz Kujawiak ani drgnął.

„Nie głupim", myślał sobie, „skoro raz już mnie zabili, to przynajmniej człek może sobie spokojnie leżeć i nie potrzebuje tarupać się jeszcze przy takim strasznym upale" — i wyprężał się coraz bardziej.

Ale lekarz zdołał wreszcie z pomocą jednego jeszcze szeregowca odciągnąć Kujawiaka na bok i policzek mu obandażować.

Ból straszny, gdy lekarz ranę mu opatrywał, oprzytomnił docna Kujawiaka. I przekonał się, że żyje jeszcze. — Otworzył oczy i rozejrzał się wokoło.

Na lewem skrzydle dwie kompanie strzelców szły na wroga, na prawo kosynierzy, środkiem zaś łan piechoty.

Grzmiąca rozmowa karabinów trwała bezustanku, a że dzień był upalny i tak cichy, że najlżejszy nawet wietrzyk nie szeleścił między drzewami, więc też dymy od wystrzałów nie rozchodziły się w powietrzu, ale zawisały jak gęste zasłony nad pobojowiskiem, jakby niebo samo nie chciało patrzeć na to dzieło zniszczenia.

Lecz przez zasłonę z dymów uwianą dojrzał Kujawiak pędzący na wroga od strony jeziora oddział kawaleryi.— Konie pędziły tak, że się wydawać mogło, że brzuchami dotykają ziemi. — Dopadli już wroga.

Kujawiak patrzy, a tu na samym przodzie naciera na wroga sam pułkownik Raczkowski. Naraz koń jego śmiertelnie raniony wraz z jeźdźcem pada na wznak.

Skoczył dowódzcy na ratunek adjutant jego Franciszek Dąmbski i swego konia pułkownikowi odstąpił. Lecz na stojącego adjutanta kilku naraz natarło Moskali.

„O! Jezusiczku", zawołał Kujawiak, „rety, dyć to mój panicz złoty!"

W jednej chwili zapomniał o bólu i o strachu. — Zerwał się na równe nogi, kosę ścisnął w garści i rzucił się naprzód.

Moskale strzelali do niego. — Jedna kula urwała mu palec u lewej ręki,

druga w ucho zraniła, inne odzież mu podziurawiły. A że ślizko od krwi ludzkiej było, więc parę razy się potknął i upadł, lecz wraz się podnosił i biegł dalej na obronę swego panicza.

I jak piorun rozszczepia drzewo, w które uderzy, tak on z impetem dopadł do wrogów, rozszczepił ich zwarty szereg i runął jak burza na napastujących panicza Moskali. Jednego lunął bez łeb i tak ci go mu galantnie, jakby kto odmierzył, na dwie połowy równiuśko przeciął; drugiego lunął między ślipie, trzeciemu jednym zamachem pazurę wraz z karabinem odrąbał.

I jakby krwią się upił, rzucał się w prawo i w lewo, waląc kosą swą ludzi, jak chłop cepami zboże.

Pokrwawą zaszły mu białka ócz, a on swoją i wrogów krwią umazany, dymem osmolony, straszny — szerzył tak dalej dzieło zniszczenia.

Ale Moskale na wszystkich punktach cofać się już zaczynali. Wreszcie dopadłszy do należącego do Ruszkowwej Woli folwarku, schronili się do stojących nade drogą kilku chałup i drzwi za sobą zatarasowawszy, strzelali z okien do naszych, którym zabrakło amunicyi.

Cóż teraz poczniemy? rzekł do wódzca. Mamy cofać się po odniesionem zwycięstwie, jakbyśmy byli pobici? Gdybyśmy tak jeszcze trochę ładunków mieli, to ani jeden Moskal nie uszedłby żywcem.

Posłyszał te słowa nasz Kujawiak i w jednej chwili powziął nagłe postanowienie. — Podniósł z ziemi kawał odłamanego drzewca od sztandaru, zapalił go zapałkami, które miał w mantelzaku i mimo strzałów, jakiemi go ustawicznie, lecz bezskutecznie Moskale z za okien prażyli, dopadł z boku do jednej z chałup. Wskrobawszy się na dach po stojącym obok płocie, płonące drzewce do strzechy przyłożył. Poczem ściągnąwszy but z nogi, (gdyż ten, który trzymał pod pachą, we wirze walki zagubił), użył go jako dymaczki. A gdy już ognisty wytrysk iskier buchnął, Kujawiak płonący snop strzechy oderwał i na dach sąsiedniej chałupy rzucił.

Stojąc jednak na brzegu strzechy, dymem odurzony przewrócił się i szczęściem spadł na ziemię, bo w chwilę potem cała chałupa stanęła w ogniu. A i drugie chałupy od tej wnet się zajęły.

Moskale z przeraźliwym krzykiem wyskakiwać zaczęli przez okna, bo drzwi zatarasowanych nie było czasu otwierać. Lecz za oknami czekali już na nich nasi i żaden z Moskali nie uszedł żywcem, zginęli od kos i szabel, wyjąwszy tych, których jako jeńców pojmano.

A bohaterowi naszemu pospieszono na ratunek i nawpół nieżywego, krwią oblanego i strasznie poparzonego wyciągnięto z pod gruzów. Odstawiono go do dworu w Ruszkowej Woli, gdzie wiele tygodni przeleżał, aż wreszcie pod troskliwą opieką p. Morzyckiej do zdrowia wrócił i potem jeszcze nieraz dzielnie wygrzmocił Moskali. Nazwiska jego nikt nie pamięta, pomnika mu też nie wystawiono, ale pono w Niebieskich Rejestrach Chrystus Pan złotemi literami zapisał nazwisko tego nieznanego bohatera z pod Ruszkowej Woli.

Cześć pamięci nieznanego Kujawiaka!

Życie.

Życie to walka... a walka to życie!
Komu wśród ciężkich prób zabraknie męztwa,
Temu nie marzyć o lepszych dni świcie,
Ani o palmach zwycięztwa...
Bo życie czynne — to trud i znój,
Bo życie czynne — to ciągły bój,
Niemężkim łzom nie wolno lśnić —
Cierpieć — to żyć!

Purpurę ducha, kęs czarnego chleba,
Wszystko wywalczyć człowiek musi trudem,
Wszystko to w życiu zdobywać mu trzeba,
Rozpacznych wysiłków cudem!
Lecz wśród ciernistych, nieznanych dróg,
Podporą, kresem, nadzieją Bóg,
Gdy rajskich snów zrywa się nić,
Cierpieć — to żyć!

Jak w ognia żarach stal nabiera mocy,
Tak umysł ludzki potężnieje w znoju,
Duch się hartuje w bolesnych przejść nocy,
Oczyszcza w goryczy zdroju...
Wszak szczęście, którem darzy nas świat,
Zostawia kolce, gdy więdnie kwiat,
O wieńcach z róż czy warto śnić?...
Cierpieć — to żyć!...

—n—

Lepiej i korzystniej prawdzie spojrzeć w oczy, niż udawać, że się jej nie widzi.

Stanisław Dobrzycki.

* * *

Paryski handel kwiatami.

„Za kwiatami — czytamy w interesującej pogadance p. J. Ferneya w „Petit Parisien“—przepadano się zawsze we Francyi.“ W średnich wiekach już róża zwłaszcza cieszyła się szczególnem upodobaniem, i ani kamelia, ani azalia, ani chryzantemy, ani orchideje i wszelkie inne nowoczesne kwiaty nie wytworzyły jej nigdy groźnej konkurencyi. Róża zdobiła stoły podczas różnych uroczystości, różami wysypywano drogę, którą miała iść procesya kościelna; bukiety róż podawały spór wiodące strony surowym sędziom w gmachu sądowym i t. d.

Mimo to wszystko jednak, kultura róż była w owych czasach słabo rozwinięta. Za panowania Ludwika XIV. ogrodnik dworski zdołał zaledwie czternaście gatunków róż wyprowadzić, podczas gdy dziś mamy ich z górą sześć tysięcy. Właściwa, chociaż jeszcze nie wielka kultura kwiatów, pojawia się dopiero w wieku XVI. Wspomniane wyżej kwiaty stają się znanemi w Europie przeważnie dopiero w ubiegłem stuleciu. Z Chin pochodząca kamelia przyszła do Francyi dopiero w r. 1799, ukazując się po raz pierwszy w cieplarniach w La Malmaison, gdzie ją zaprowadziła żona Napoleona Józefina. Pierwsze chryzantemy hodował Bernet w roku 1826 w Tuluzie; nowe zaś odmiany tych kwiatów sprawadził do Europy w ostatnich latach drugiego cesarstwa Robert Fortune. Azalie znane są mieszkańcom Europy dopiero od r. 1823; orchideje zaaklimatyzowano u nas w r. 1840, a pierwszymi, którym udało się dokonać tego w Europie, byli Belgijczycy i Anglicy.

Słowem rozwój handlu kwiatami dokonywał się w Paryżu bardzo powoli i prawie niepostrzeżenie; zdaje się, że około r. 1830 dopiero zaczęły wystawy magazynów kwiatowych zwracać bardziej uwagę publiczności. Sławnym był w owym czasie przedewszystkiem magazyn kwiatów pani Prevost w Palais Royal, gdzie wszystkie znakomitości ówczesne zaspakajały swoje potrzeby; jednym z najlepszych klientów pani Prevost był poeta Barbey d'Aurevilly, który się zawsze i wszędzie ukazywał z kwiatem w butonierce.

Jakkolwiek sprzedawano już wtedy

bardzo dużo kwiatów, to jednak ilość magazynów kwiatowych była jeszcze bardzo nieznaczna. Na krótko przed wybuchem wojny niemiecko-francuskiej nawet było ich w całym Paryżu zaledwo czterdzieści! Dziś jest ich najmniej sześćset. Dowodzi to, że w handlu kwiatami dokonał się ogromny przewrót, i to dopiero od lat trzydziestu. Aż dotąd, handlarze kwiatami mieli więcej zmysłu kupieckiego, aniżeli artystycznego. Toć przypominamy sobie jeszcze te większej lub mniejszej objętości okrągłe bukiety, w których ciasno, jeden tuż obok drugiego poukładane biedne kwiaty, tworzyły jedną zwartą masę; ujęte były w dziurkowany mankiet papierowy i uszczęśliwianym niemi podobały się bardzo; tryumf ich jednak był zwykle bardzo niedługi — upinane na drucikach zamierały prędko.

W r. 1877 dopiero wystąpili znaczniejsi paryscy handlarze kwiatami ze śmiałą nowością, starając się każdemu kwiatowi nadać indywidualną wartość. Zaczęły się ukazywać bukiety, wprawdzie mniejsze rozmiarami, ale za to bez porównania ładniejsze, bardziej artystyczne aniżeli dawniejsze, bukiety, które przez kilka róż ułożonych ze smakiem, budziły zrozumiały zachwyt. Te nowe metody wiązania kwiatów zmusiły hodowców do respektowania długich łodyg, a kiedy publiczność spostrzegła, że kwiaty można teraz tydzień a nawet dłużej zachować w świeżości, zaczęła ich też więcej kupować. I odtąd handel kwiatami w Paryżu zaczyna przybierać olbrzymie rozmiary. Dość powiedzieć, że poza wymienionemu wyżej sześciuset magazynami, na setki liczą się tam kioski z kwiatami, a prawie dwa tysiące wózków rozwozi codziennie kwiaty po ulicach stolicy.

Ciekawe jest skąd pochodzą te wszystkie kwiaty cięte, wazonowe i rośliny liściaste, sprzedawane w Paryżu. Otóż, rośliny liściaste pochodzą prawie wyłącznie z Belgii i północnej Francyi, a obrót w tym dziale handlu kwiatami, według najświeższej statystyki, wynosi 7 milionów franków. Rośliny liściaste, nie pochodzące z północy i kwiaty wazonowe, sprzedawane w Paryżu, figurują w statystyce z 13 milionami franków. Kwiatów ciętych dostarcza Paryżanom przedewszystkiem pięćset ogrodników z okolicy. Dochód z tej sprzedaży obliczają na 15 milionów franków. W pierwszych dniach października ukazują się w halach t. zw. nicejskie kwiaty, które znikają znów w połowie maja. Obrót w handlu nicejskim kwiatami dochodzi w ciągu tych siedmiu miesięcy do 12 milionów franków. Ogółem wynosi obrót w paryskim handlu kwiatami od lat przynajmniej dziesięciu przeszło 45 milionów rocznie, z czego potrącić trzeba 15 milionów, jako wartość kwiatów wysyłanych z Paryża na prowincyę i żagranicę.

W Paryżu wszyscy kupują kwiaty. Niema gospodyni domu, którąby sobie odmówiła przyjemności przyozdobienia bukiecikiem swego skromnego mieszkania. Wózki z kwiatami, przeciągające ulicami, prawie wszystkie wracają wieczorem próżne do domu. Trzeba widzieć jak „midenetki“ biorą szturmem wózek z fiołkami, ażeby sobie urobić właściwe pojęcie o zamiłowaniu Paryżanek do kwiatów. Najlepszymi klientami wspaniałych magazynów kwiatowych są przebywający w Paryżu cudzoziemcy. Na czele stoją tu Amerykanie, którzy dużo kupują bez długiego targu, po nich idą Polacy, a dalej Anglicy, którzy się długo targują, ale za to mniej kupują. Arystokracya francuska zachowuje się wobec kwiatów z rezerwą. Mimo to nie brak wielkopańskich domów, w których przyozdobienie stołów podczas uroczystych przyjęć kosztuje 6,000 franków, albo i więcej. Najwspanialszą dekoracyą kwiatową odznaczają się stoły paryskich ajentów giełdowych podczas dorocznego bankietu...

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 2-go kwietnia 1640 śmierć Marcina Sarbiewskiego. — 1658 śmierć Andrzeja Leszczyńskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego. — 1702 śmierć hetmana Stanisława Jabłonowskiego.

Dnia 3-go kwietnia 1025 śmierć Bolesława Chrobrego. — 1241 spalenie Krakowa przez Tatarów. — 1831 powstanie w powiecie dziśnieńskim i w Trokach.

Dnia 4-go kwietnia 1581 śmierć Jakóba Uchańskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego. — 1657 zjazd w Modliszewicach Karola IX. z Rakoczym. — 1770 manifest konfederacyi barskiej. — 1794 świetne pod Racławicami nad Moskwą zwycięstwo. — 1803 odrodzenie się uniwersytetu wileńskiego. — 1831 powstanie w Oszmianie. — 1849 legion polski przeważa zwycięstwo pod Biczko.

Dnia 5-go kwietnia 1194 śmierć Kazimierza Sprawiedliwego. — 1573 pierwszy wolny sejm elekcyjny we wsi Kamieniu. — 1656 bitwa ze Szwedami pod Sandomierzem. — 1831 powstańcy zajmują Połągę.

Dnia 6-go kwietnia 1361 pierwsze założenie akademii krakowskiej. — 1551 śmierć Barbary Radziwiłłówny. — 1617 wyprawa Władysława IV. na Moskwę. — 1831 powstanie Niemenczyna i Szyrwint. — 1846 usamowolnienie chłopów w Galicyi. — 1849 legion polski w bitwie pod Isaszeg.

Dnia 7-go kwietnia 1278 śmierć Bolesława Pobożnego. — 1578 miasto Ryga przysięga na wierność. — 1656 pobicie Szwedów pod Wartką. — 1849 Pius IX. papież poświęca chorągiew legionów polskich.

Dnia 8-go kwietnia 1390 Jadwiga na czele wojska w wyprawie na Węgry. — 1525 Albert mistrz krzyżacki przyjmuje wiarę Lutra i jako książę lenne zaprzysięga poddaństwo. — 1551 Orzechowski za heretyka osądzony — 1764 konfederacya wileńska.

Humor i satyra.

Cukierki.

Mieszkała piętro wyżej
A była bardzo cacy!
Często ją spotykałem,
Gdym szedł do domu z pracy.

Znajomość się zaczęła
Od spojrzeń i uśmiechu,
Boć w rzeczach takich niema,
Ni joty nawet grzechu.

I tak pół roku trwało,
I ani kroku dalej
Zacząłem ją posądzać,
Że serce ma ze stali!

Aż raz na schody wchodzę —
Ona mię nie widziała —
Patrzę — w skrzynkę do listów
Cukierków mi wsypała!

Skoczyłem wtedy do niej —
Ściskałem ją spłonioną...
I w trzy miesiące potem
Została moją żoną!

A dzisiaj po trzech latach
Chętka mię bierze wściekła:
Wszystkich wraz cukierników —
Posłać, aż na dno piekła!

* * *

Jour- (czytaj żur).

Kaśka i Magda przybyły do miasta i dostały się obie do służby. Za tydzień spotykają się.

Magda: No jakże tam twoja służba, Kasiu.

Kaśka: Byłoby to ano nie źle, ino że tak wiele roboty, bo jutro u moich państwa żur.

Magda: A co to takiego ten żur?

Kaśka: Nie wiem, ale widno, że to wielkie święto, bo trza było czyścić na

glanc wszyćkie pokoje, a kucharka coś napiekła również aż strach!

* * *

Siła wiatru.

Marsylijczyk, blagier, jak zwykle, opowiada o sile wiatru w Marsylii.

— W pracowni mojej, doskonale zabezpieczonej od wiatrów, namalowałem portret mężczyzny w kapeluszu. Nazajutrz rano przychodzę do pracowni i, wyobraźcie sobie, zastaję mojego jegomościa na portrecie bez kapelusza!

— Nie może być!

— Słowo daję! Wiatr zerwał mu w nocy kapelusz z głowy.

* * *

Rozumowanie pijaka.

Co mi po słońcu! Świeci w dzień, kiedy i tak jest widno. Księżyc... co innego! W nocy przyświeca człowiekowi!

* * *

Zapobiegliwa.

Matka do dorosłej już córki:

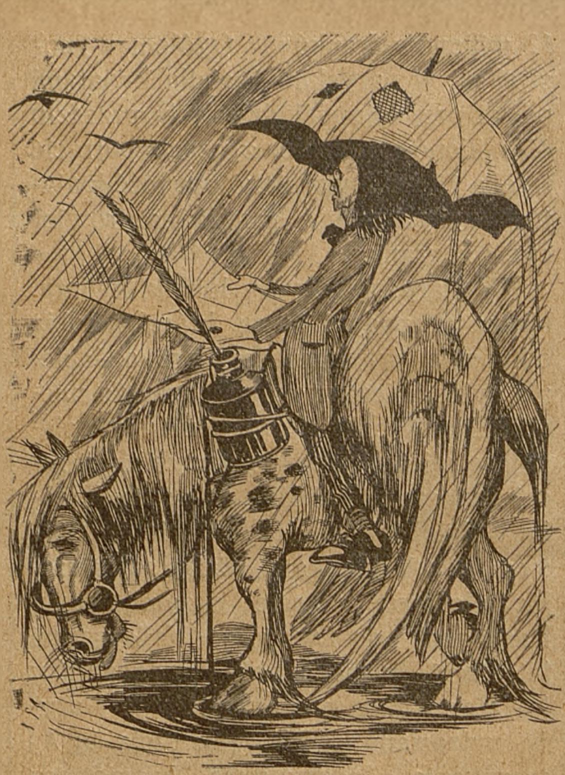
— Że też musisz ciągle tylko próżnować!... Mogłabyś już raz pomyśleć o swojej przyszłości.

— Właśnie o tem pomyślałam i dziś kupiłam sobie zaręczynowy pierścionek.

* * *

Skarga poety.

Przybądź o wiosno, przyjdź z ligawek graniem,
Z wietrzyków letnich miluteńkim wiewem,
Z odgłosem szczęścia, ptasząt cudnym śpiewem,
Rozkoszna, strojna kwiecistem ubraniem!
Że idziesz, czuję, słyszę Twoje dzwony,
Już wichry Twoje wieją w każdej dziurze,
Przez spodnie czuję i przez kalesony
Jak tchnienie Twoje łazi mi po skórze.
Już piosnki Twoje cieszą mię z gardzieli
Sielanek żądnych romantycznych kotów.
I spedytora ludzi klekot gdzieś z topieli
I bab kłótliwych krzyki podle płotów...
Och widzę wreszcie, że się ma potrosze
Ku nowej erze zmartwień i kłopotów.
Niedługo trzeba będzie zdjąć kalosze
I znów świat ujrzy dziury moich butów!
I do lombardu pójdzie peleryna,
Pod którą bieda moja kwitła tak dyskretnie.
O nieba! z żalu pęka mi katryna,
A tu na świecie, tak przecudnie, kwietnie!
Bydlakom niebo zmienia sierść i wełnę,
Poetów los zaś: łaź w koszuli jednej!
Okropność! Sączą łzami oczy pełne.
Nie dla nas wiosna, nie dla braci biednej!
Lecz witaj wiosno, witaj choć tym wierszem
Nie złowię nigdy złamanego grosza,
Choć pójdzie biedny za mym hymnem pierwszym



Skarga poety.

Twe wdzięki sławić będę nawet z — kosza!
(P. S.) Że ryknę‘esz płaczem nad tych rymów stosem,
Wiem redaktorze, skończę więc tym razem,
Prosząc uprzejmie, uniżonym głosem:
Daj mi odpowiedź — choć małym przekazem.

K. Argus.

* * *

Na wsi.

Między filozofami wiejskimi.

— To jednak szczególne, że bydło tak niezmiernie trafia do swojej zagrody!

— To nic dziwnego! Z bydłem — to tak jak z ludźmi, gdzie dostają wyżerkę, to tam i lecą!

* * *

Impertynent.

— To doprawdy arogancya!... Raz jeden byłem z nim w towarzystwie i już mi przysyła zaproszenie na swój — pogrzeb!... Impertynent!

* * *

I tak bywa.

— Moja żono, proszę cię, abyś nie pozwalała Marysi wchodzić do pokoju w podobnie dziurawych pończochach... Popatrz no!

— A niegodziwa!... Widzę, widzę!.. Znów włożyła moje własne pończochy!

* * *

Na ulicy.

— Czy zauważyłeś, jakie piękne konie ma ten młody hrabia Iksiński?

— Owszem, ale złośliwi utrzymują, że on posiada jeszcze piękniejsze długi.

* * *

Uprzejmy.

— Dlaczego pan dobrodziej opuszcza to mieszkanie?

— Czy ja sam wiem?... Ot pragnę zmiany!

— O, to ja mógłbym sam załatwić.

— W jaki sposób?

— Podwyższając panu czynsz.

* * *

Celowość w naturze.

Bartek: A wisz ty, na co Pan Bóg stworzył ziemniaki?

Wojtek: No wim, aby ludziska co żreć mieli...

Bartek: Głupiś! Na to, aby biedny chłop miał także coś, coby łupił ze skóry.

* * *

Potęga miłości.

— Panno Zofio, miłość moja dla pani jest potężna, bez granic!

— Czy być może?

— Miłość ta pochłania mnie zupełnie, obraz pani mam ciągle przed oczyma, tak, że nawet w czasie zajęć biurowych zasnąć nie mogę.

* * *

Życzliwy.

Notaryusz spisuje ostatnią wolę umierającego pana Macieja.

— Niniejszem zapisuję cały mój majątek ruchomy i nieruchomy mojej żonie. Masz pan?

— Mam.

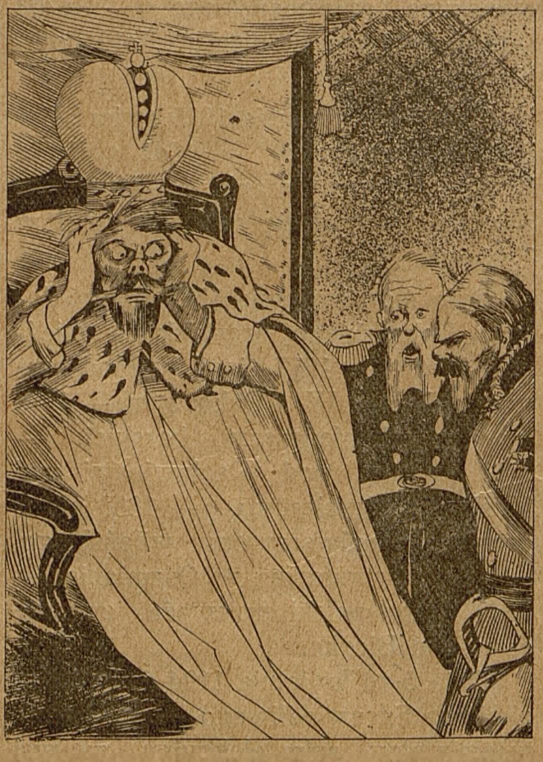
— ... pod warunkiem, że w ciągu roku wyjdzie powtórnie za mąż.

— A dlaczego? pyta zdumiony notaryusz.

— Ponieważ pragnę, aby naprawdę było komuś żal, iż umarłem.

* * *

Praktyczny car.



Co, znowu wam się chce wojny? Nie taniej wypadnie urządzić kilka pogromów w kraju?

Przepisy do zrobienia majątku.

W obecnym zmateryalizowanym wieku, jak wykazuje statystyka, na 100 ludzi — 102 pragnie zrobić majątek, nie od rzeczy będzie wskazać drogi do tego.

1. Trzeba sobie zrobić amputacyę sumienia, honoru i uczciwości.

2. Wykreślić ze swego słownika słowo „dać“, natomiast brać, gdzie się da, co się da i co się nie da.

3. Mieszkania nie płacić, obiady jadać u znajomych, kolacye u krewnych, ubranie brać na kredyt, i t. p.

4. Wybór zawodu jest rzeczą obojętną: złodziejem wszędzie być można.

Stosując się do niniejszych przepisów, w przeciągu 3 lat dochodzi się do majątku, o ile marszu tego nie zatrzyma — więzienie.

ZAGADKA.

Nadesłał czytelnik „Pracy,“ p. Stanisław Rychlicki z Krotoszyna.

1 . . . . . .
. 2 . . . . .
. . 3 . . . .
. . . 4 . . .
. . . . 5 . .
. . . . . 6 .
. 7

Zamiast kropek i liczb wstawić litery tak, żeby wstawione na miejsce liczb utworzyły nazwisko dziejopisarza polskiego:

Znaczenie wyrazów:

1. Rzeka w Południowej Ameryce.
2. Poeta niemiecki.
3. Król żydowski.
4. Malarz polski.
5. Ptak śpiewający.
6. Poeta polski.
7. Król portugalski.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 6-go kwietnia włącznie.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie zagadki do powyżej wyznaczonego terminu.

Rozwiązanie arytmogryfu z nr. 12-go.

F
A R A
M Ł A W A
F R A N C Y A
W I N I C J U S Z
M O S I Ą D Z
I B S E N
B Z Y
K R E T A
B A Ł K A N Y
R E K I N
R A K
W E R D I
L A M P A R T
L I S C I O N O S
G L I N S K I
C I S S A
O K O
I

Trafne rozwiązanie nadesłały do dnia wyznaczonego terminu t. j. do dnia 23-go z. m. następujące osoby:

Z Poznania: pp. Melania Matuszewska, W. S--d—i, Marya Kucharzewska, Zbigniew Waligórski, Aurelia Matuszewska, Wanda Malinowska, Zygmunt Świerkowski, L. Stachowski, Wienio Generowicz, Stanisława Lewandowska, Boleś Popliński (spóźnione rozwiązanie) i Kalasanty Prarak następującym wierszykiem:

Franciszek Karpiński, poeta nasz luby,
Przyspożył poezyi czasu swego chluby.
Ten liryk, sielankarz, religijny piewca,
Ten płaczek rzewliwy, ludu serc zdobywca.

W tym arytmogryfie jest **F** i ptak **ara,**
Z miast naszych też **Mława, Francya,** ziemia stara.
Bohater **Winicyusz,** dziś wszechświatu znany,
Przez mistrza powieści z spiżu jak ulany
Mosiądz i norweski pisarz **Ibsen** dalej,
Bzy krzewy i **Kreta,** wyspa w morskiej fali.
Bałkany też góry, **rekin** ludożerca,
Rak, zwany skorupiak, **Werdi,** mistrz od serca.
Krwiożerczy też **lampart,** krew **liścionos** ssący,
Poeta nasz **Gliński,** rymy nas pasący.
Z rzek także jest **Cissa,** dopływ w nurt Dunaju,
Szlachetna część **oko,** spójnik **i** na skraju.

Jadzi H........... czy znany „Justyny poeta?“
Panienko go zgłębij, — to nie wierszokleta!

Kalasanty „Filareta.“

Z prowincyi: pp. Władysława Trąpczyńska, Stef. Kraski, Luc. Beutlich i Jadzia Scholtz z Wrześni, Andrzejewski z Gniezna, Stanisław Tomas z Ostrowa, Stanisław Kowalski z Jaraczewa, Jaroch Czabański z Zaniemyśla, Cecylia Sikorska z Ponieca, Gustaw Jelenkiewicz i Dr. Żmidziński ze Skalmierzyc, Joanna Sobocińska z Wielowsi pod Gniewkowem, K. Śmigielski z Chabska, Stanisław Konieczny z Żelic (powiat wągrowiecki), G. Podbielski z Nekli, Józef Czekała z Neumanowa pod Mogilnem, Konstancya Kolańczyk z Kowalewa pod Pleszewem, Stefania Rolirad z Jedlca (leśniczówka — powiat pleszewski), Kostek Puknijsię i Tomasz Jankowski z Mełpina pod Międzychodem, Cecylia Klóskówna z Opatowa (powiat kępiński), Maxymilian Koźma z Śmieszkowa pod Czarnkowem.

Z Prus Zachodnich: pp. Helena Gniatczyńska z Torunia, Zofia Karasiewicz z Tucholi, Rajmund Kamiński, słuch. med. z Dąbrówki, K. Kozłowski z Subków.

Ze Śląska: pp. Wiktorya Gąsiorowska z Wrocławia, Franciszek Skotnik z Mikołowa, Wiktor Kłoda z Mokrego, Wiktor Polak i Ludwik Rother z Bobrku, Janek z Michałkowic, Augustyn Glazowski i Błażej Świerczyński z N. Piekar, Karol Krzystolik z Tychów.

Z Galicyi: pp. Stefan Popiel z Rzochowa, G. Ochenduszkowa z Liska, ks. Józef Welc z Gorlic, M. Bebak z Płazy, H. Wodecki z Ropczyc.

Z obczyzny: pp. Stanisław Wegner z Berlina, Ignacy Lewandowski z Charlottenburga, Franciszek Skotarczak z Mülheim-Styrum, Kasper Kuliński z Welzow (Dolna Luzacya).

Nagrodę otrzymali: pp. Wienio Generowicz z Poznania, Jadzia Scholtz z Wrześni i G. Ochenduszko z Liska w Galicyi.

Śmiesznym się ludzki wiek obraca szykiem:
Zrana półgłówkiem człek i rozrzutnikiem,
Pysznym w południe, a za dnia upadem —
Kutwą łakomym i mrukliwym dziadem.

Adam Naruszewicz.

NASZ KĄCIK.



Rozwiązanie zagadki.

Dobre rozwiązanie ostatniej zagadki: Koks — skok, nadesłali: Mania Błaszczyk z Buku, Marysia Jarantowska z Grodziska, Helcia Krystak z Wrześni, Felcia Malinowska z Poznania, Czesio Glazowski z Kruszwicy, Januszek Siciński z Grzymysławic, Hipolit Zeyda z Nakła oraz Maryś i Kazio Ochenduszkowie z Liska w Galicyi.

Mania Błaszczyk w Buku! Twój liścik taki szczery i serdeczny bardzo mi się podobał. Pielęgnuj twą chorą mamę, a Pan Bóg ci to pewnie wynagrodzi i może dobrzy ludzie dopomogą, by się spełniły twe pragnienia, moja Maniu.

Jadwinia i Albinka Badurówny w Rożdzieniu! Wasze rozwiązanie zagadki jak widzicie nie wypadło dobrze, ale dziękuję wam drogie dziewczynki za śliczną kartkę i za miłe słowa.

Marysia Jarantowska w Grodzisku i Helcia Kryślak we Wrześni. Szkoda moje małe, że nie napisałyście mi coś więcej o sobie.

Felcia Malinowska w Poznaniu. Życzę ci z całego serca moja Felciu, abyś dostała promocyą; donieś mi o-tem!

Czesio Glazowski w Kruszwicy Ładnie mój mały napisałeś liścik, czy sam odgadłeś tę dosyć trudną zagadkę? A czemu Edzio się nie dopisał, skoro też już pisze?

Januszek Siciński w Grzymysławicach. Cieszę się mój chłopczyku, że ci się „dzielny chłopiec“ podobał. Tego rodzaju powiastka będzie dopiero na przyszły rok, w styczniu, w rocznicę powstania z 1863 r. — ale teraz dam wam wkrótce wyjątki z dzienniczka chłopca, co też się moim czytelnikom pewnie spodoba.

Hipolit Zeyda w Nakle. Nie omyliłeś się, twój liścik mi się podobał, ucieszył mnie i rozśmieszył. Życzę ci drogi chłopcze dobrego świadectwa i promocyi.

Basio Lewandowski w Babinie. Najprzód smutna, a teraz szczęśliwa historya twego dziecinnego życia mój Basiu kochany, szczerze mnie zajęła i dziękuję ci, że mi to wszystko opisałeś. Staraj się przywiązaniem swego małego serduszka, posłuszeństwem i drobnemi usługami odwdzięczyć kochanej, dobrej p. Jance i twym zacnym opiekunom, ale i rodziców nie zapominaj i proś Bozi o zdrowie dla nich i lepsze powodzenie. — Chętnie bym cię chciała poznać, mój mały.

Maryś i Kazio Ochenduszkowie w Lisku Galicya. Jakaż to radość dla mnie, że i wy, w Galicyi znacie i kochacie „Nasz kącik“ i waszą przyjaciółkę. Witam was nowi moi korespondenci, chłopczyki kochane!

A teraz drogie dzieci zrobimy krótki przegląd błędów z ostatnich liścików: Domyśliłyśmy się, a nie domyślyły. W niemieckim języku pisze się te słowa, przed któremi można postawić ten, ta, to, dużą literą, w polskim jednak nie, więc listonosz a nie Listonosz. Z — radości, osobno z, a nie razem, toż samo w—niej, a nie wniej. Zmyliłam się, a nie zmylyłam. Teraz *z* na końcu a nie *s*. *Przejść do czwartej wyższej klasy,* a nie przęść do czwarty wyrzszy. Więcej, a nie wiency. — A teraz niech każde z drogich dzieci pozna popełniony przez siebie błąd i na drugi raz wystrzega go się pilnie! Kwartał dobiegł do końca, jakże by to było ładnie, gdyby dzieci czytające „Kącik“ postarały się powiększyć grono jego czytelników. Powiedzcie o „Kąciku“ waszym rówieśniczkom i rówieśnikom. Może w tym czasie przypadają imieniny niektórych z nich, jeśli poproszą rodziców, to im pewnie nie odmówią i będą woleli zapisać „Pracę“ niż kupić w tym dniu dla swych dziatek jakąś bezmyślną zabawkę. A teraz niech dzieci uważają dobrze co im jeszcze powiem: Otóż urządzę wam w „Kąciku“ coś w rodzaju wyścigów o nagrodę. W kilku idących po sobie kolejno „Kącikach“ będą umieszczane zawsze ciekawe historyczne zagadki. Kto będzie bardzo pilny, wszystkie odgadnie i odpowie na zawarte w nich pytania, ten dostanie ładną książeczkę, ale jeden warunek: Pragnę i życzę sobie, aby to była wasza własna praca i to pamięciowa, nie zaś słowa przepisane z historyi polskiej. Wynik tego wyścigu będzie ogłoszony w „Kąciku“ dopiero po wydrukowaniu wszystkich 6 zagadek. Serdecznego buziaka każdemu z drogich dzieci przesyła ich najlepsza przyjaciółka

Paula Wężyk.

* * *

Wiosenny ranek.

Złote słonko przez okienko śle garść blasków: — Chodź, wiosenką ciesz się dziecię, patrz do koła jaka ziemia już wesoła i jak stroi się świątecznie. Dziecię, ciesz się, ciesz serdecznie, chodź, używaj tu swobody, póki ś mały, pókiś młody! —

Przez okienko słonka smuga wpadła, wabi, lśni i mruga. Zbyszek rozumie tę mowę, ma do pracy rączki zdrowe, w piersi serce, co tęskniło długo za wiosenką miłą, więc, pomimo wiatru, chłodu, wybiegł szybko do ogrodu tam, gdzie w kątku nań zdaleka własny jego zagon czeka. —

Ileż pracy, trudu będzie nim wyrośnie coś na grzędzie! Trzeba skopać ziemię całą nim się kwiatki będzie siało. Trzeba chwasty pleć starannie, hodować Najświętszej Pannie najcudniejsze, wonne kwiecie, by, gdy maj zawita w świecie, rwać je z grządki na ołtarze i wraz z sercem nieść Jej w darze.

Zbyszek nad ziemią się schyla; trawka wzejdzie lada chwila, grudkę ziemi bierze w rączki: Tu będę mieć znowu strączki, a tam zaś trochę sałatki dla babci, mamusi, tatki, a tu wyborne truskawki. — Po nauce, dla zabawki tu przybiegnę do roboty...

O, promyku słonka złoty, ziemio droga i zagony, praco moja, moje plony, kocham was, o z głębi duszy! Łezka oczka Zbyszka prószy: Boże z nieba, Tobie dzięki za czar nowej tej wiosenki!

P. W.

* * *

I. Zagadka historyczna do nagrody.

Przed laty, laty, przed wieki, wieki,
Była władczyni cudnej urody,
Przyjechał rycerz z strony dalekiej,
Prosić o rękę dziewicy młodej.
Lecz ona sercem obcego gardzi
I cudzoziemca nie chce za męża,
Mszcząc się więc za to wrogowie hardzi,
Wnet wydobyli z pochwy oręża.
Ach, wspomnij, powiedz dziecię kochane,
Imię tej Polki, młodej dziewicy
I w jakiej rzeki fale wezbrane
Wskoczyła w ciężkiej serca tęsknicy?

P. W.



* * *

Tajemnica morza.

3)

(Ciąg dalszy).

Wieloryb nieznanego gatunku.

Wróciłem do przytomności, dzięki silnemu tarciu mego ciała. Otworzyłem oczy...

— Konsel! — wyszeptałem.

W tej chwili przy słabym blasku księżyca zachodzącego za widnokrąg, dojrzałem twarz, którą zaraz rozpoznałem.

— Ned! — zawołałem.

— W swojej własnej osobie! Ned, panie, pędzący za swą nagrodą! — odrzekł Kanadyjczyk.

— Tyś także wpadł w morze, przy wstrząśnieniu fregaty?

— Tak jest, panie profesorze, lecz szczęśliwszy od was, zaraz prawie zdołałem się dostać na wysepkę pływającą.

— Wysepkę?

— Albo raczej na waszego narwala olbrzymiego.

— Nie rozumię cię, Ned.

— Zaraz też zrozumiałem, czemu mój oszczep nie mógł w nim ugrząźć, i zsunął się po jego skórze.

— Dlaczegóż, Ned, dlaczego?

— Oto dlatego, panie profesorze, że ta bestya ukuta jest z blach stalowych!

Ostatnie wyrazy Kanadyjczyka sprawiły nagłą w moim mózgu zmianę. Siedziałem na zwierzęciu czy też przedmiocie nawpół zanurzonym w wodzie, który nam służył za schronienie; czułem go pod memi stopami.

Nie było żadnej wątpliwości, że zwierzę, potwór, zjawisko przyrodzone, które tak intrygowało cały świat uczony, rozpalało wyobraźnię i niepokój budziło w sercach marynarzy obu półkul ziemskich — było zjawiskiem bardziej jeszcze zadziwiającem, bo dziełem ręki ludzkiej. Znajdowaliśmy się na grzbiecie jakiegoś statku podwodnego, wyobrażającego, o ile wnosić mogłem, kształt ogromnej ryby stalowej.

— Czy ten statek nie płynął?

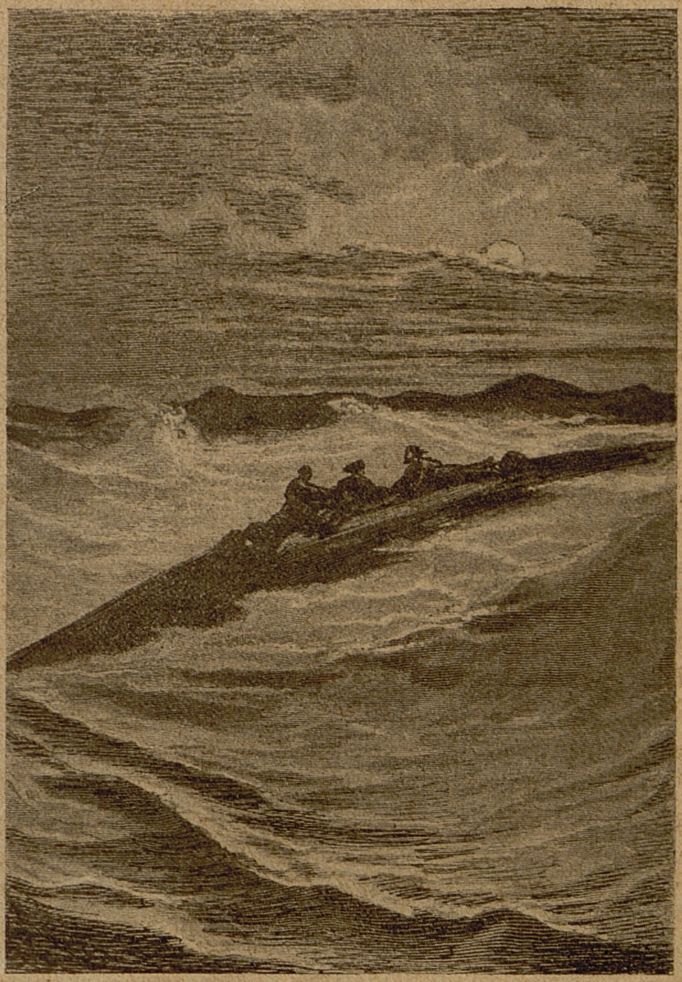
— Nie, kołysze się, ale się nie porusza.

W tej chwili, i jakkby dla usprawiedliwienia moich dowodzeń, w tylnej części tego dziwnego przyrządu, którego motorem widocznie była śruba, powstało jakby jakieś wrzenie, i masa poruszać się zaczęła. Na szczęście, szybkość jego nie była zbyt wielką.

— Dopóki płynie po wodzie, mruczał Ned Land, nie mam nic przeciwko temu; ale jak mu przyjdzie ochota zanurzać się, to i dwóch dolarów nie dałbym za mą skórę!

Było więc rzeczą niezbędną porozumienie się z istotami zamkniętemi w tej maszynie. Szukałem po wierzchu jakiegoś otworu, jakiej ścianki, lub jakiegoś mechanizmu — lecz nie znaleźć nie mogłem. Nity wiążące z sobą blachy, doskonale były zaciśnięte. Przytem i księżyc skrył się a więc zostaliśmy pogrążeni w ciemności. Trzeba było czekać dnia, aby wynaleźć środek przeniknienia do wnętrza tego statku podmorskiego.

Tak więc ocalenie nasze zależało jedynie od kaprysu tajemniczych sterników, kierujących tym przyrządem, któ-ry gdyby się zanurzył, zginęlibyśmy bez ratunku. Jeśli



...Znajdowaliśmy się na grzbiecie statku podwodnego...

ten wypadek nie zajdzie, to ani wątpiłem, że weidziemy z nimi w stosunki. Bo i w rzeczy samej, jeśli sobie sami nie wytwarzali powietrza to musieli od czasu do czasu powracać na powierzchnię oceanu dla odświeżenia go i łatwiejszego oddychania — co musi się dziać za pomocą jakiegoś otworu, któryby wnętrze statku łączył z atmosferą.

Co zaś do nadziei ocalenia nas przez kapitana Farraguta, tej wypadło wyrzec się zupełnie. Płynęliśmy na zachód, a szybkość nasza względnie bardzo niewielka, wynosić mogła dwanaście mil na godzinę. Śruba rozbijała fale z matematyczną jednostajnością, wychylając się niekiedy i wyrzucając wodę fosforyczną do znacznej wysokości.

Około czwartej godziny rano, szybkość przyrządu wzrosła tak, że fale silnie nas potrącały; z trudnością przyszło nam się utrzymać. Na szczęście, Ned namacał wypadkiem szeroką obręcz otaczającą górną część grzbietu, i do tej mocnośmy się przyczepili.

Przeszła nareszcie ta długa noc. Zawodna moja pamięć nie dochowała wszystkich doznanych wrażeń. Jakież istoty przebywały w tym dziwnym statku? Jakież mechaniczne czynniki przenosiły go z miejsca na miejsce, z szybkością tak nadzwyczajną?

Dzień się robił; jeszcze poranne mgły otaczały nas, ale wkrótce rozwiać się miały. Chciałem przystąpić do uważnego zbadania kadłuba, który w górnej swej części formował pewien rodzaj platformy horyzontalnej, kiedym poczuł, że się statek zanurzać zwolna poczyna.

— Eh! do tysiąca dyabłów! — wrzasnął Ned-Land tupnąwszy nogą w blachę — otwórzcież nam!

Lecz trudno, aby nas usłyszano wśród ogłuszających uderzeń śruby. Na szczęście, ustało zanurzanie się statku.

Nagle usłyszeliśmy z wewnątrz odgłos gwałtownie odsuwanych zawias. Przez klapę podniesioną ukazał się człowiek, wydał dziwny krzyk i zniknął natychmiast.

W kilka minut potem ośmiu tęgich zuchów z twarzami zakrytemi maskami, ukazało się w milczeniu i wciągnęło nas do wnętrza swej strasznej machiny.

„Ruchome w ruchomem."

To gwałtowne porwanie spełniono na nas z szybkością błyskawicy. Nie mieliśmy czasu obejrzeć się; nie wiem czego doświadczyli moi towarzysze, czując się wciąganymi do tego więzienia pływającego, lecz mnie dreszcz przebiegł po całem ciele. Z kim mieliśmy do czynienia? Zapewne z jakimiś rozbójnikami nowego rodzaju, wyzyskującymi morze w swój sposób.

Zaledwie zamknął się za mną ciasny otwór, znalazłem się w ciemności zupełnej; nagle ze światła w ciemnię przeniesiony, niczego w pierwszej chwili dostrzedz nie mogłem. Czułem, że nogi moje nagie wlokły się po stopniach żelaznej drabiny. Ned-Land i Konsel silnie pochwyceni, wleczeni byli za mną. U spodu drabiny drzwi uchyliły się i natychmiast za nami zamknęły z ponurym odgłosem.

Byliśmy sami. Gdzie? wówczas nie wiedziałem jeszcze. Wszystko było czarne, ale to tak czarne, że po upływie kilku minut oczy moje nie mogły jeszcze pochwycić tej jasności nieokreślonej, jaka wydobywa się z pośród najgłębszej nawet ciemności. Ned-Land rozgniewany takim sposobem postępowania, nie powściągał swego oburzenia.

— Do miliona dyabłów! — wołał — oto ludzie! Brakuje tylko, aby byli ludożercami! Nie dziwiłoby mnie to wcale; doprawdy nie dałbym się zjeść tak łatwo.

— Uspokój się przyjacielu — rzekł spokojnie Konsel. — Jeszczeprzecież nie jesteśmy na rożnie.

— To prawda, że nie na rożnie — odparł Kanadyjczyk — ale już w piecu z pewnością! Tak tu ciemno, ale na szczęście, mam mój nóż przy sobie, widzę jeszcze tyle, że użyć go potrafię w potrzebie. Pierwszy z tych zbójów, który się zbliży do mnie...

— Nie gniewaj się Ned, i nie narażaj nas wszystkich tą gwałtownością. Kto wie, czy nas nie podsłuchują. Lepiej starajmy się dowiedzieć, gdzie jesteśmy.

Szedłem poomacku. Wkrótce napotkałem ścianę z belek żelaznych spajanych. Zwracając się w przeciwną stronę, znalazłem stół drewniany, obstawiony stołkami bez poręczy. Podłoga tego więzienia zasłana była dość grubym dywanem, co przygłuszało odgłos kroków. Na gołych ścianach nigdzie nie było śladów drzwi ani okien. Konsel idąc z przeciwnej strony, spotkał się ze mną — i powróciliśmy do środka kajuty, mającej, jak się zdawało, dwadzieścia stóp długości, a dziesięć szerokości; wysoką zaś była tak, że Ned-Land, pomimo swego ogromnego wzrostu, swobodnie się tam mieścił.

Pół godziny tak upłynęło bez żadnej zmiany, gdy nagle z zupełnej ciemności wzrok nasz przeszedł do światła bardzo natężonego. Więzienie nasze rozwidniło się od jednego razu, to jest: napełniło się światłem tak mocnem i żywem, że z początku znieść tego blasku nie było można. Zamknąłem zrazu oczy mimowolnie, a otworzywszy je potem, spostrzegłem, że światło wydobywało się z matowej półkuli, umieszczonej w górnej części kajuty.

— Nareszcie widać coś przecie! — zawołał Ned-Land, który ze swym nożem w ręku stał w postawie odpornej.

Oświetlenie kajuty pozwoliło mi obejrzeć ją w najdrobniejszych szczegółach. Nic w niej nie było prócz stołu i pięciu stołków. Drzwi były ukryte. Żaden szmer nie dochodził do naszych uszu. Wszystko zdawało się martwem wewnątrz tego statku. Czy posuwał się on naprzód, czy był na powierzchni oceanu, czy też zanurzył się w jego głębiach — odgadnąć tego nie mogłem. Jednakże światło nie bez przyczyny się ukazało. Sądziłem, że w ślad za niem przyjdą i ludzie. Nie oświetla się miejsca, w którem się chce zapomnieć istot tam zamkniętych.

Nie omyliłem się. Wkrótce posłyszeliśmy hałas rygli; drzwi się uchyliły, weszło dwóch ludzi.

Jeden był małego wzrostu, muskularny, barczysty, z członkami silnie rozrośniętemi, z głową dużą, obficie pokrytą czarnemi włosami, z wąsem gęstym, wzrokiem żywym i przenikliwym.

Drugi nieznajomy zasługuje na bardziej szczegółowe opisanie. Głowa jego wspaniale odbijała, a czarne jego oczy z chłodną spoglądały pewnością; skóra jego blada raczej niż kolorowa, stwierdzała krew zimną; energię poznać było można z nagłego marszczenia brwi. Czy ten człowiek miał trzydzieści pięć lat, czy też pięćdziesiąt, tego dokładnie oznaczyćbym nie umiał. Wzrost miał wysoki, czoło szerokie, nos prosty, usta czysto narysowane, zęby śliczne, ręce delikatne.

Ten wyższy z nich, widocznie dowódca statku — przypatrywał się nam z nadzwyczajną uwagą, nie mówiąc ani słowa. Potem, zwracając się do swego towarzysza, rozmawiał z nim niezrozumiałym dla mnie językiem. Drugi odpowiedział poruszeniem głowy i dodał dwa lub trzy wyrazy całkiem niezrozumiałe, poczem wzrokiem wyraźnie mnie pytał.

Odpowiedziałem mu po francusku, że nie rozumiem jego języka, lecz on nie zdawał się rozumieć tego co mówię; położenie stawało się kłopotliwsze.

— Niech opowiedzą naszą historyę — rzekł do mnie Konsel. — Może ci panowie choć jakie wyrazy pochwycą z tego?

Rozpocząłem więc opowiadanie naszych przygód, bardzo pomału i dobitnie, nie opuszczając najmniejszego szczegółu; wymieniłem nasze nazwiska i stan każdego, a potem formalnie przedstawiłem siebie jako profesora Aronnax, Konsela jako mego sługę i Ned-Landa jako oszczepnika.

Człowiek z oczyma łagodnemi i spokojnemi słuchał mnie cierpliwie, grzecznie nawet i z widoczną uwagą. Lecz z twarzy jego nie można było wnosić czy zrozumiał moje opowiadanie. Gdy skończyłem, nie wyrzekł ani słowa.

Wypadałoby spróbować języka angielskiego. Może damy się zrozumieć w tej mowie, która dziś stała się prawie powszechną. Umiałem po angielsku tak dobrze, jak i po niemiecku, ale tylko czytać a nie rozmawiać.

— No, teraz na ciebie kolej mości Land; zdobądź się

na najlepszą angielszczyznę, a może będziesz odemnie szczęśliwszym.

Ned prosić się nie dał i powtórzył moje opowiadanie. Rzecz była ta sama, lecz opowiadanie różniło się formą. Kanadyjczyk ożywił je bardzo wskutek porywczości swego charakteru. Skarżył się gwałtownie na uwięzienie go z pogwałceniem wszelkich praw ludzkich; zapytywał na mocy czego był zatrzymanym, groził, że będzie dochodzić swej krzywdy, rzucał się, krzyczał, gestykulował, a w końcu bardzo wyraźnie dał do zrozumienia, że umieramy z głodu.

Tak było w istocie, choć prawieśmy o tem zapomnieli.

Wielce się zdziwił oszczepnik, widząc, że go nie lepiej odemnie zrozumiano. Mocno zakłopotani, nie wiedzieliśmy co dalej czynić, kiedy Konsel szepnął mi do ucha:

— Gdyby pozwolili, to ja opowiedziałbym rzecz całą po niemiecku.

— I owszem, mój chłopcze, i owszem, zaczynaj.



...Ned Land ze swym nożem w ręku...

Konsel spokojnym głosem po raz trzeci opowiadał nasze przygody. Lecz pomimo eleganckich zwrotów i silenia się na najlepsze, jak być może, wymawianie, niemczyzna także została bezskuteczną. Nakoniec, potrzebą przynaglony, przypominając sobie wszystko, co mi w pamięci pozostało ze szkolnych mych czasów, chciałem rzecz przedstawić po łacinie, lecz... bez skutku!

Po tej ostatniej próbie, dwaj nieznajomi, zamieniwszy ze sobą kilka wyrazów w swej mowie niezrozumiałej, wyszli, nie pożegnawszy nas nawet.

Gdy się drzwi za nimi zamknęły Ned-Land gwałtownie zawołał.

— To niegodziwość! Jakto! mówią do tych łotrów po francusku, po angielsku, po niemiecku, po łacinie, a żaden z nich nie chce odpowiedzieć.

— Uspokój się Ned — rzekłem do wrzącego oszczepnika — gniew do niczego nie doprowadzi. — Nie trzeba tracić nadziei. Znajdujemy się wprawdzie w nienajlepszych warunkach, ależ czekajmy, aż sobie będziemy mogli wyrobić opinię o dowódzcy i załodze tego statku. Wiem tylko, że są to nie Francuzi, nie Anglicy i nie Niemcy.

Gdy on domawiał tych słów, drzwi się otworzyły. Wszedł posługacz niosący dla nas odzież: kamizelki i spodnie do żeglugi morskiej przydatne, zrobione z materyi, której gatunku rozpoznać nie mogłem. Z pośpiechem ubraliśmy się, a posługacz tymczasem, niemy może i głuchy nawet, ustawił stół i położył na nim trzy nakrycia.

— A, to już coś na seryo — rzekł Konsel i wcale się nieźle zaczyna.

— Eh! do dyabła! — mruknął gniewliwy oszczepnik — cóż my tu jeść możemy? wątróbkę żółwią, polędwicę z rekina i pieczeń z psa morskiego!

— Zobaczymy — odpowiedział Konsel.

Półmiski przykryte srebrnemi pokrywami, symetrycznie ustawione na stole, czekały na nas. Usiadłszy



..Weszło dwóch mężczyzn...

poznaliśmy, że mamy do czynienia z ludźmi cywilizowanymi. Jednakże dodać muszę, że chleba i wina brakowało zupełnie. Woda była czysta, świeża, ale to zawsze woda tylko — co wcale nie przypadało do smaku Ned- Landowi. Pomiędzy potrawami, jakie nam podano, poznałem różne ryby delikatnie przyrządzone — lecz o niektórych potrawach nic nie umiałem powiedzieć. Łyżki, widelce, noże talerze — miały na sobie taki znak:

CHOME W
RU N RU
CHOMEM

„Ruchome w ruchomem!“ Zagadka ta stosowała się do tego statku podmorskiego. Litera N. była zapewne początkową głoską imienia zagadkowej osoby, rozkazującej w głębinach morskich.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KAMIENNA WOLA.

POWIEŚĆ.

28)

(Ciąg dalszy).

Felisia nie znała jeszcze tyle psychologii, ile ją znała każda z jej rówiennic i dawnych znajomych z miasteczka, których ojcowie nie dorobili się fortuny szlacheckiej, i córki nie żyły z duchami! Wśród tych duchów przecie, które ona znajomemi swemi zrobiła, każda miłość prawdziwa, począwszy od miłości Szylerowskiego rycerza Toggenburga, była wierna aż do grobu i wierzyła też tak święcie w trwałość uczucia niezmienną, że najpierw nie wyobrażała sobie, aby ona sama zmienić się kiedyś mogła, powtóre nie przypuszczała zmiany w Janie. Nie szukała w tem źródle nadziei dla siebie, bo jej to nawet do głowy nie przyszło. — Rozdarto mu serce! mówiła sobie z żalem, a myśl, która następowała potem bezpośrednio, była: — Przyjaźń wierna serca poświęconego mu wyłącznie, czyżby nie mogła przynieść mu czasem coś, coś pociechy ....

Być w życiu Jana pociechą, białym kwiatkiem Bożym zakwitającym skromnie na jego drodze... o!... Felisia Oktatowiczówna przyciskała sobie bijące serduszko rączką, która drżała i podnosząc oczy ku niebu, pytała: — Jak! jak to osiągnąć mój Boże?

— Trzeba być na to najpierw bardzo szlachetną — odpowiedziała sobie dość prędko, ale jak tu wyszukać w jej życiu cichutkiem takiej do tego drogi, aby ta szlachetność coś znaczyć mogła i stała się jakimś czynem? Pełnienie ścisłe obowiązków naszych, to pierwszy grunt do tego — myślała, przypominając sobie jeszcze nauki madame z miasteczka, ale jej się zdawało, że obowiązki swoje spełnia już teraz. Kocha całem sercem mamunię i tatunia, kocha Michałka i Fruzię i stara się nie robić nikomu przykrości żadnej — stara się nie robić nikomu nic złego.

— Ale czy robi co dobrego?

Biedna Felisia zmieszała się nagle i zamyśliła. — Co ona dobrego mogłaby robić, co dobrego mogłaby robić w zakresie swoich obowiązków? Znowu przesunęły jej się przed oczyma drogie postacie rodziców i rodzeństwa, ale cóż mogła dla nich uczynić. Tu dobrem była miłość i ona wypełniała już to dobro — kochała! Aż jakiś głos wewnętrzny szepnął jej nagle, że może dobrem szerszego znaczenia było rozszerzenie tego uczucia, które nosiła w sercu dla mamuni i tatunia, dla Michałka i Fruzi — rozszerzanie miłości.

Od kwatery, którą siano, wiatr przyniósł niespodziewanie wesoły dźwięk uśmiechu Agatki, i Felisia podniosła się żywo z występującym jej na lica rumieńcem: wstała jak gdyby nasłuchując, puściła wzrok przed siebie, a przez nagie jeszcze drzewa ogrodu ujrzała białawy słupek dymu, który się wznosił ku górze z nad komina najbliżej po za ogrodem stojącej chaty. Felisia zapatrzyła się w ten dym z wiejskiego komina, a twarzyczka jej kraśniała rumieńcem coraz żywszym, oczy rozświecały się coraz gorętszym promieniem świtającej myśli. Ach! ona mogła rozszerzyć miłość, ona — która dotąd nie czyniła nic złego, mogła zacząć czynić dobrze na podstawie swych obowiązków.

Każdy katechizm, każda najpospolitsza nauka moralności, ta nawet drukowana na szarej bibule, którą w miasteczku kupić można za groszy dziesięć na straganie przedkościelnym, mówi o obowiązkach naszych względem bliźnich, a jej, która czytała tyle książek, nie przyszło nigdy do głowy, że żyje w około niej tak wiele, wiele bliźnich, dla których ma obowiązki: obowiązki miłości, obowiązki czynienia dobrze!...

Felisia była pobożną dziewczynką chrześciańską, i zlękła się aż tego zapomnienia swego; złożyła ręce jak do pacierza i patrząc ku niebu przysięgła, że zacznie kochać bliźnich swoich....

Znalazła więc niespodziewane pole dla uczynków miłości rozszerzonej, ale jakiemiż miały być uczynki same? Czego było brak największy otaczającym ją bliźnim, co ona dawaćby im mogła nie z kieszeni tatunia, ale z zasobów jej osobistych, z zasobów serdecznych uczucia kochającego? Co wreszcie ona sama uważała za wziątek największy?

Słońce zachodziło właśnie, i z tylnego ganku starego dworu, który stał frontem do wschodu, oko widziało fale światła lejącego się z góry. Zdawało się, że słońce zachodzi gdzieś za ogrodem i potoki jasności płynęły niby z nieba na ziemię i pałały w górze ogniskiem ogromnem. Gospodynie wiejskie zaczynały gotować wieczerzę i coraz to nowy słupek dymu zaczynał się podnosić i wyciągał się z dołu ku górze, jak gdyby z każdej strzechy słomianej występował duch jakiś i chciał dążyć ku ogniskowi światła, chciał się w świetle tem skąpać i rozświetlić sam blaskami jego. Tak się zaczynało stawać: białawe dymy wiejskich kominów zaczęły się zmieniać w jakieś różowe wstęgi świetlane, które rysowały się na wielkiem tle płonących blasków, roztapiając się w nich niby. Felisia patrząc na to rozpłakała się:

— Światła! o światła! pragną nadewszystko duchy ludzkie! zawołała wyciągając ręce ku tej stronie, gdzie słońce zapadać się zdawało — światła potrzeba jest najwięcej tym duchom!...

Czyż ona sama nie najwięcej pragnęła światła, czyż dla niej światło nie stało się wszystkiem w życiu? Gdyby nie ten promyczek, który jej rzucono, czyż jej spotkanie z Janem, byłoby pociągnęło za sobą skutek jakikolwiek, czyżby była miała teraz w dziewczęcem swem serduszku tę miłość dla Jana, która była takiem szczęściem?...

Zapomniała już co ta miłość dała boleści i uczuła tylko szczęśliwość wzruszenia obecnego: nadziei, które zapełniały jej życie młode, ideałów, które ta miłość wiodła za sobą. Wszystko to dał jej promyczek światła: to i resztę:.... wszystko co w jej życiu było pięknem, dobrem,

jasnem, podniosło jej się w głębi serca przez ten promyczek boży i ubrało jej życie wdziękiem swoim.

Płakała i wyciągała ręce: —Światła! o światła potrzeba najwięcej tym duchom ludzkim, co przebywają na poziomie. Wszakżeż ona, która pochodziła z tłumu prostych i maluczkich, doświadczyła tego na sobie. Gdyby w miasteczku nie było madame, jakże ona byłaby ubożuchną w tej chwili?.....

Uczuła niewysłowioną wdzięczność dla tej madame dalekiej. Promyczek światła był jej dany przez nią, i promyczek ów stał się dobrem ogromnem. Felisia postanowiła robić dobrze tym sposobem: rozdawać promyczki światła...

Uczyła właśnie czytać i pisać Fruzię, która była jej siostrzyczką drogą, mogła była podobnie uczyć Frankę i Agatkę a potem siostrę Franki i Agatki. Wszystko to, czem Jan w rozmowach z nią, potrącił o jej bliźnich z pod strzech słomianych, wszystko to, co w tym przedmiocie ona sama spotykała w różnych książkach, stanęło jej teraz w myśli, a myśl ta jak gdyby rozjaśniona intuicyą, zaczęła dostrzegać horyzonty, rzeczy dalsze, snuć konsekwencye, a wśród rozwidnionych tych pomysłów serce modrookiej uderzało w piersi coraz mocniej, żywiej. Felisia zrozumiała, że znalazła dla działalności swego cichego życia czyn szlachetny....

Uklękła i podziękowała Bogu. Za dwa lata Jan miał powrócić do Kamienia, a ona w żadnym interesie samolubnym, nawet miłości swojej, nie zapragnęła nigdy, aby termin ten uległ przewłoce. Jej tak tu było dobrze, dobrze żyć w tym dworze starym, wśród tej wioski pięknej, teraz jeszcze życie jej dostawało cel pracy szlachetnej, przecież nie chciała przypuścić nigdy, aby los pokrzyżował plany Jana, nie dał ziścić się jego nadziei. Liczyła zatem, że blisko za dwa lata Jan wróci do Kamienia i dostrzeże wtedy ślady jej pracy, że może ktoś z tych, którym ona będzie czynić dobrze, westchnie za nią i westchnienie to będzie jej świadectwem dobrem spełnionego czynu, a Jan wtedy pomyśli może, że ona jest godną jego przyjaźni. On, który zawsze, bez żadnej z jej strony zasługi był tak względnym, tak dobrym dla niej, tak jej przychodził z pomocą rad i wskazówek potrzebnych, może tak pomyśli i wyciągnie do niej rękę przyjaciela? Choćby nawet serce jego z siłą żywotności męskiej wygoiło się z boleści doznanej, i w następstwie uczuło miłość nową dla kobiety innej — tu mimowolna łezka kręciła się w błękitnem oku Felisi — ona niemniej mogłaby pozostać jego przyjaciółką do zgonu. Dla siebie nie pragnęła nic, nic więcej, bo ona, ona nie mogła się nigdy zmienić, nie magła nigdy zapomnieć....

Przyrzekła to dziś tatuniowi, przysięgła to Bogu i sercu swemu. Teraz znalazła dla siebie czynność szlachetną, która ją zbliżała duchem do Jana, i Felisia Oktabowiczówna uczuła się zadowoloną, szczęśliwą.

Ale Felisia była osóbką porządną, bo duszka jej młoda była duszką harmonię kochającą, i dlatego wszystko w koło siebie trzymała w ładzie pewnym. Skoro tylko myśl pracy przyszłej: myśl czynienia dobrze bliźnim swoim, została stanowczo przyjętą, natychmiast chciała temu wytknąć drogę stałą, naszkicować swój obraz. Lecz zaraz na pierwszym wstępie spotkała ją trudność, o której poprzednio nie pomyślała. Nazajutrz była niedziela i mogła na początek pierwszy zawołać sobie w jaki kącik dworu lub ogrodu Frankę lub Agatkę, mogła siąść z niemi choćby na schodach ganku ogrodowego i zacząć abece swego dobrego uczynku; ale czy mogła zrobić to samo w poniedziałek, we wtorek? Franka i Agatka musiały iść koniecznie do roboty swojej w pole, a gdy wracały znużone, czyż to była chwila do nauki sposobna? Wstawały ze wschodem wiosennego słońca i godziło się dać im choć wypoczynek już późny ze słońca tego zachodem, Felisia więc zmartwiła się ogromnie. Tak, jak było z dziewczętami dworskiemi, było i z ich siostrami: zostawał dla jej planów zaledwie siódmy dzień tygodnia, jeden dzień niedzieli, który jeszcze nie mógł być całkiem zabrany, bo gdzieżby było miejsce na modlitwę świąteczną i świąteczne wesele: zesznurowany czerwoną wstążką gorsecik kamlotowy i bicz korali, bicz bursztynów, kaskada srebrnego śmiechu i potok smetnej melodyi: dana moja!... dana!...

Felisia się zmartwiła, bo jakżeż wolniutkie, wolniutkie musiały być postępy jej dobrego uczynku! Musiało tak być przez całą wiosnę, lato i część jesieni. Dopiero z dniem krótszym mogła odkraść dziewczęta Kamieńskie kądzieli wieczornej, i postępować już prędzej. Może to było szczęściem dla niej, że była córką ludzi niegdyś ubogich, dorobkiewiczów: rozumiała co to jest dorabiać się powoli, iść krok za krokiem, a dojść przecież. Rozumiała to, ale się zmartwiła niemniej: westchnęła..... — Ach Boże! jak to ciężko coś zrobić na tym świecie, gdzie tyle jest mozolnej pracy na chleb, która ludzi schyla ku ziemi!...

Ale takie dziewczątka jak Fruzia nie idą jeszcze do pracy podobnej, do roboty w pole; takie dziewczątka zostają w domu, widzi ich całe gromadki przed chatami w ulicy wiejskiej, śpiewają, bawią się, niańczą dzieci.... Ach! niańczą dzieci, rodzeństwo młodsze! Strzegą go i chat pilnują, nieraz niosą w pole dwojaki: ze śniadaniem rano, z obiadem w południe, z podwieczorkiem później. Gdyby jednak nie było na świecie tego maleństwa drobnego, które płacze po lipowych kołyskach za piersią matki, które pełza po ziemi przed chatami, rzecz dałaby się jeszcze ułożyć. Ale maleństwo to drobne istniało: płakało, pełzało, podnosiło się, podrosłszy, na nóżęta drobne i dreptało po opłotkach, ogrodach. Gdyby nie było dziatwy starszej, cóżby się stało z tym drobiazgiem ruchliwym? Ptaszęta nie ruszają się z gniazdek, bo jeszcze nie porosły w piórka i gdy matka za szukaniem muszek odleci, świergocą tylko i otwierają dzióbki. Ale małe chłopiętka mają nóżki, które je noszą już po roku. Bose, w koszulinkach szarych, z główkami, których włoski słońce wybieliło jak len gospodyni Magdy, ruszają się, kręcą, krzyczą oto, jak teraz właśnie....

Felisia wsłuchała się w ten krzyk i czy już zaczęła działać miłość rozszerzona, siostrzana miłość bliźniego, ale młode jej serce odpowiedziało na ten chór głosików krzykliwych uderzeniem jak gdyby miłosnem. Tak sobie obrazowała przed chwilą te hałasujące tam w dali dzieciaki, że przed wyobraźnią jej zaczęły występować pyzate, śmiejące się buziaki, które mogła serdecznie całować w usteczka różowe. Najgorzej to sięgnąć sobie raz do głębi serca i wzruszyć je prawdziwie, bo uparte to serce nie uspokoi się prędko i gotowe jest zaraz kochać, kochać.... Tak jest zawsze z sercem z natury dobrem, a czystem, młodem, nieznarowionem przez przesąd i samolubstwo. Felisia doświadczyła tego na sobie i uczuła, że serce jej uderza w piersi do tego drobiazgu maleńkiego, co tam na wsi, tam po za ogrodem dworskim roi się w tej chwili między opłotkami wiejskiemi. Mogła była wmieszać się w ten rój i wabić go do siebie, brać w kolej na kolana, odgarniać białe włoski z czoła i ach!... w głowie Felisi strzeliła nagle myśl: — Zgarnąwszy w koło siebie drobiazg, można było zgarnąć i starsze jego rodzeństwo!...

Można było i wzrok Felisi znowu błysnął, oczy zaświeciły. W gazecie, którą tatunio trzymał za wskazaniem Jana, czytała, że po miastach zakładają nietylko ochronki,

ale i żłóbki dla dzieci, których matki idą do roboty. Tam do pomocy ludziom dobrej woli stawa siostra miłosierdzia, tu mogła stanąć ona: siostra miłości!...

Zmartwienie Felisi pierzchło zatem, jak cień przed słońcem. Widziała przed sobą szeroki, jak na nią, zakres działania i naiwna dziewczynka czuła się cała szczęściem. — Bluźniłam przed chwilą narzekając na trudności życia — rzekła sobie — życie przeciwnie jest łatwe! Kto chce czynić dobrze, ma natychmiast sposobności tyle!.... Nie można tą drogą, to zaraz znajdzie się inna, byle poszukać...

Tak wesołą była przez wieczór cały! tak dobrze spało tej nocy, ona biedaczka, która od dwóch przeszło tygodni przestała sypiać dobrze! Rano zerwała się na nogi tak wcześnie, bo ją budziła myśl wesoła zawodu nowego i wybiegła co prędzej do ogrodu, gdzie poranek kwietniowy wydał jej się taki piękny! I ogrody kamieńskie były w jej oczach takie piękne!... Choć jeszcze drzewa stały bez liści, a murawa ledwo rozzieleniać się zaczynała, marzyła o maju, który wszystko rozwinie, ubogaci, kwiatem okryje. I ptasząt więcej przybędzie i będzie tu tyle woni, muzyki, rozkoszy! Tatunio po niej wstał pierwszy, a ona go wypatrzyła podstępnie i zwabiła pieszczotami.

— Tatuniu — rzekła — klękając mu u kolan w ganku ogrodowym, gdzie go posadziła gwałtem na ławce — tatuniu, mam taką prośbę wielką, ogromną.... Wypuść mi tatunio na czynsz jedną z tych chałup starych, które podług kontraktu z panem Kamieńskim mają się rozbierać w tym roku, aby stawiać nowe. Nie rozbierz tatunio jednej i puść ją mnie w komorne. Zapłacę... mam pieniądze.....

Śmiała się, a ojciec głaskał jej włosy. Rano zawsze Felisia puszczała swobodnie dwa długie warkocze, na które p. Jacek lubił patrzyć. — Masz pieniądze — rzekł — to dobrze.... Pójdziemy w targ. Ile czynszu dasz aspanna?

Mogła dać tyle, ile była warta jedna jałoszka tyrolska, która była jej własnością. Miała jeszcze kilka kur czubatych, które mogła sprzedać mamusi — ofiarowała tyle czynszu.

Targ jej poszedł dobrze: dostała darmo chałupę i poklepanie rozrumienionego policzka. — Moja panna córka coś na własną gospodarkę patrzy — rzekł pan Jacek wesoło i nie sprzeciwił się córce. Kochał ją najwyższą czułością ojcowskiego uczucia, a przytem nie był to człowiek twardego serca. Zamiary Felisi podobały mu się także z innej jeszcze przyczyny — pochlebiły mu. Słyszał, że za Pilicą była jedna wielka pani, księżna z rodu, która zaprowadziła u siebie po wioskach, coś na kształt tego, co Felisia chciała zrobić w Kamieniu i p. Jacek uczuł się dumnym z córki. — Nie wyrzuciłem darmo grosza na dziewczynę — rzekł potem żonie. — Dziecko jest dobre i można powiedzieć, że nam się udało. Zobaczą ludzie, że córka dorobkiewicza, Felisia Oktabowiczówna, nie gorsza od jaśnie panien....

Felisia tak się prędko zabrała do roboty, lubiona już bardzo przez sługi dworskie, tak prędko zaskarbiła sobie zaufanie matron wiejskich, że na drugi tydzień od powzięcia zamiaru już jej dzieło funkcyonować zaczęło. Ksiądz proboszcz pokazał się na nie bardzo łaskawym; dowiedziawszy się o rzeczy, pocałował Felisię w czoło i powiedział jej wzruszonym głosem:

— Dobrze, dobrze zaczynasz moje dziecko, i Bóg też błogosławić ci będzie w życiu.... Ewangelia powiada, że prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igły, niż bogacz dostanie się do królestwa niebieskiego, ale są niemniej bogacze błogosławieni, dla których bramy niebieskie rozmykają się szeroko. Uczynki miłości ich stają wtedy przy furcie owej i miejsce im czynią...

Przez żydka furmana Felisia sprowadziła sobie z Warszawy pakę elementarzy i tabliczek, dwie stare kobiety ze wsi zostały dobrane do pomocy z dziatwą maleńką, a te podrostki, które je niańczyć miały, siadły grzecznie na stołeczkach swoich: chłopcy figlarze po jednej stronie, dziewczynki trusie po drugiej. Czasem przecież cała ta chmara wylegała do sadku śliwkowego, który rósł po za chatą i siadano na murawie, a Felisia w pośrodku, Felisia nauczycielka, Felisia kochająca siostrzyczka tej gromadki ruchliwej, śmiejącej się, pyzatej. Wszystkie koszulki były teraz czyste, wszystkie buziaki pomyte, włoski poczesane, niejednokrotnie jej ręką własną. W śliwkowym sadku czasem zaśpiewał ptaszek i Felisia opowiadała o ptaszku, muzykancie bożym, któremu jest grzech wykręcać gniazdka i zabierać pisklęta. Czasem przeleciała pszczółka i Felisia mówiła o pszczółce pracowitej a zgodnej, która w drużynie bratniej szczęśliwie żyje i buduje sobie z wosku wonnego misterne plastry na miód słodki. Czasem bywała opowieść o dobrem ziołku, które leczy, czasem o pięknym kwiatku, który woni słodko. Bóg kazał aniołom siać kwiaty, aby było pięknie na ziemi, kto kwiatek swawolnie wyrwie z gruntu, w którym rośnie, kto go zdepcze naumyślnie, ten zniszczy rzecz piękną, i jest winny odjętej oczom ludzkiem pociechy. Kto zaś kwiatek zasieje, kto go podleje, gdy więdnie, podeprze, gdy się pochyli, ten jak anioł piękno mnoży i nawet sam nie wie, komu pociechę przynieść może. Taki naprzykład staruszek, który chodzi po chlebie proszonym, bo pochował już na cmentarzu wszystkie dziatki swoje, taka sierotka nieboga, która niema ani ojca, ani matki, ani kąta żadnego, może przyjść i ucieszyć się choć kwiatkiem pachnącym. A kiedy chłopiec, idący gościńcem, podniesie z drogi krzemyk ostry i rzuci go w bok na miedzę, nie wie też komu dobrze uczynił? Może świętobliwy pielgrzym idący z daleka, może wędrowiec bardzo smutny i bardzo znużony skaleczył by nogę o kamień, gdyby ręka dziecinna nie usunęła go z drogi ludzkiej. Felisia opowiadała tak o ptakach, pszczołach, kwiatach; o ludziach, jak powinni być dobrymi wzajem dla siebie, a potem jak stawek leśny gra w lecie rechotem żabek, tak stara chata grała głosikami dziecinnemi. B...a—ba! B...e—be! śpiewały chórem swojskie żabki małe.

Felisia wracała nieraz do domu zmęczona i p. Jackowa gniewała się o to na córkę, że się rozchorować może, ale p. Jacek ujmował się za nią. — A imość — pytał — czyś się w samym puchu chowała, a jednak dał Bóg zdrowie.... Kto je, niech pracuje.... Matka Boska wełnę przędła, św. Józef ciesielkę robił.

I Felisia pracowała codzień sumiennie rano całe do południa samego. Po południu już nie bywało a b c.... i tylko stara Kowalka z babką Banachową zostawały przy dzieciach. Często przychodził wtedy ksiądz proboszcz i uczył pacierza. Dzieci klękały i mówiły: — Ojcze nasz! któryś jest w niebie.... a ksiądz pokazywał im błękit, słońce i opowiadał o Bogu.

Ktoś z ludzi wiejskich wspomniał o tem Janowi, a potem sam p. Jacek opowiedział mu rzecz obszerniej, gdy raz spotkali się w lesie przy sągach. Jan w ostatnich czasach zapomniał niejako o Felisi, a teraz przypomniał sobie o niej z pewną rzewnością melancholijną. — Dobra dziewczynka.... mówił sobie wracając z lasu do domu i czegoś rozsmucił się mimowoli. Czy żalił się na los nielitościwy, że nie wszystkie te istoty piękne, dla których uderzy gorąco szlachetne serce męskie, mogą się nazywać dobremi dziewczynkami?....

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tel. 1549. Tel, 1549.

Tapety

z fabryk krajowych i zagranicznych, jak francuskich, angielskich, czeskich i amerykańskich.

Tapety jedwabne (Tecco) i skórzane.

Tapety do zmywania.

Linoleum.

Dywany i chodniki linoleumowe.

Ceraty.

Wszelkie próby i kosztorysy na żądanie franko.

Jedyne specyalne polskie przedsiębiorstwo tej branży na Poznań i W. Ks. Poznańskie.

Centralny Dom Tapet

Koczorowski & Co

Poznań, Stary Rynek 80.

81

Na sezon latowy

91 polecamy

KAPELUSZE

damskie i dziecięce

w wielkim wyborze

po nizkich lecz stałych cenach

M. & A. Kapałczyńska

Poznań, ulica Szeroka nr. 25.

Kapelusze krepowe.

Poznań, Rycerska ul. 15.

Zakład leczniczy dla chorych

na nerwy i na cierpienia przewodu pokarmowego (przełyku, żołądka, kiszek, wątroby) **włącznie chorób przetwarzania się materyi** (otyłości, choroby cukrowej, podagry, bladaczki etc.) w połączeniu **z zakładem wodoleczniczym. Kuracye dyetyczne. Kąpiele elektryczne z prądem zmiennym i faradycznym. — Masaż wibracyjny elektr. i ręczny.** [2

Kąpiele elektryczne świetlane.

Kąpiele wszelk. rodzaju. Gimnastyka szwedzka.

Dr. Zakrzewski. Dr. Panieński.

Największe polskie przedsiębiorstwo

wiercenia studzień i fabryka pomp.

55



Wszelkiego rodzaju pompy ręczne **(w wielkim wyborze, kute żelazne)** do zapędu **koniem, parą, siłą motorową i elektryczną.** Wszelkie transmisye do pomp tanio i dokładnie wykonane.

Rury, łączniki rur wszelkiego rodzaju **wielki zapas** na składzie.

Wiercenie studzień na własne **ryzyko** za dostateczną **ilość wody** do każdego zapotrzebowania.

J. Kopczyński, Poznań.

Telefon 2041 — **ul. Półwiejska 20** (Halbdorfstr.)
Filia pod własną firmą: **Ostrowo, ul. Koszarowa 26.**

Nowości

na porę wiosenno-latową nadeszły

we wielkim wyborze

W. Frąckowiak, Poznań,

Pracownia eleganckiej garderoby męzkiej. 347

plac Wilhelmowski 18, Dom Przemysłowy

Telefon 2546.

Kto szuka:

pracy,
posady,
służby,
mieszkania,
zbytu towarów,
reklamy wyrobów
dzierżawy,

kto potrzebuje:

rządzców,
urzędników,
ekonomów,
leśniczych,
pomocników,
pokojówek,
kucharzy,
kucharek,
służby,

kto chce:

nająć mieszkanie, kupić lub sprzedać majątki, goścince, handle, gospodarstwa itd., pożyczyć pieniędzy, lub podać cośkolwiek do wiadomości ogółu

najlepiej i najtaniej uzyska to przez

ogłoszenia

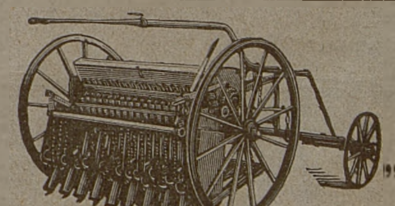
w

„Pracy.“

„PRACA“

Tygodnik illustrowany kosztuje kwartalnie

tylko 1,50 Marek.



Siewnik rzędowy

„Saxonia“

„Siederslebena, znany z swych nadzwyczajnych zalet i dotąd stanowczo najlepszy tak na role pagórkowate jak i równe, mam w Poznaniu w rozmaitych wielkościach na składzie.

W roku 1909 przy próbie 8 rozmaitych najlepszych siewników w Wilderwank w Holandyi, otrzymał siewnik Saxonia najwyższe odznaczenie.

Zaś w roku 1910 przy próbie siewników w Grombach przyznała badeńska izba rolnicza w Karlsruhe temuż siewnikowi pierwsze miejsce z 115 punktami. 114

Również polecam ze składu:

SIEWNIKI „WESTFALIA“

do sztucznych nawozów

Najnowsze czeskie siewniki do soli chilijskiej obsiewające dwa rzędy z dwóch stron.

A. Brylinski w Poznaniu

kantor i wystawa wszelkich machin i narzędzi rolniczych, krajowego i zagranicznego wyrobu **przy ulicy Rycerskiej Nr. 14.** Wielkie składy machin i części rezerwowych na placu kolejowym. Własna pracownia do napraw. **Telefon Nr. 69.** Adr. do listów: **A. Bryliński** Poznań-Posen. Adr. do telegr.: **A. Bryliński** Posen.

Księgarnia Katolicka, Poznań, ul. Jezuicka 5, wydała i poleca książkę kucharską p. t.

Makarego 730 obiadów

wielkich, średnich i małych, mięsnych i postnych z opisem śniadań i wieczerzy, tudzież spiżarni, sklepu i kuchni dla chorych, oraz pieczenia ciast i robienia konfitur. — Wielki format, papier gruby, druk bardzo wyraźny, str. 360. **Cena bez oprawy 2.20 mk., z opr 3.00, porto 20 fen.** Należytość nadsyłać naprzód lub zamawiać za zaliczkę.

Uwaga: Makary sztuki gotowania uczył się w Francyi i Anglii, a wróciwszy z podróży osiadł w Poznaniu i zarządzał kuchnią w Bazarze, największym hotelu tego miasta. — Potrawy w jego książce, nie są wypisane z innych dzieł, lecz oparte na własnem doświadczeniu.



Juliana Baczyńskiego

„Naród polski pod obcem panowaniem“

zawiera na **480** stronach wielkiego formatu szczegółowo i nader zajmująco opowiedzianą **historyę Polski porozbiorowej** aż po dzień dzisiajszy.

Historya powstań. Historya poszczególnych zaborów.

Historya walki z niemczyzną.

Cena dzieła 2,50 M.

Zamówienia z równoczesnem załączeniem należytości przyjmuje

„Praca,“ Poznań, Rycerska 38.

Nakładem i drukiem „Pracy“ Drukarni Nakładowej Sp. z ogr. p. — Redaktorzy odpowiedzialni: Za dział polityczny, wiadomości i dział illustrowany p. Bolesław Rakowski z Poznania, za dział ogłoszeń p. Wincenty Szmytkowski z Poznania.